

JEZUICI



nasza
MISJA

POWOŁANI DO MISJI

- 4 Wojciech Kowalski SJ
**Pasja Błogosławionego
ojca Jan Beyzym SJ ?**
- 10 Aleksander Jacyniak SJ
**Z jedną nogą uniesioną, czyli
jezuici jako zakon misyjny**
- 13 Przemysław Stadnik SJ
Po co Paragwaj?

WŚRÓD LUDZI

- 16 Jarosław Mikuczewski SJ
**Służyć, towarzyszyć, orędować
Jezuic Refugee Service - Malta**
- 22 Tomasz Nogaj SJ
**Misja jezuitów w Południowym
Sudanie**

WOLONTARIAT

- 29 Maria Kraus
**Moje doświadczenie wolontariatu
w Kirgistanie**

NA KRAŃCACH ŚWIATA I KULTUR

- 34 Zbigniew Sulczyk SJ
Przygoda z edukacją w Chile
- 39 Kamil Boberek SJ
**O pracy na Tajwanie
w kilku słowach...**
- 45 Wiesław Słowik SJ
**Wśród swoich na krańcu świata
- Australia**

DZIEŁO NOWEJ EWANGELIZACJI

- 49 Paweł Rakowski SJ
Przestrzeń spotkania - Dania
- 59 **Summary**

spis treści



Św. Franciszek Ksawery SJ

Jezuici - Nasze Wiadomości
ul. Kopernika 26, 31-501 Kraków,
naszewiadomosci@jezuici.pl;
Redaktor nacz.: Paweł Dudzik SJ
zastępca redaktora nacz.: Jakub
Niedzielski SJ, **redaktorzy tech.:**
Jacek Domański SJ, Marek Firlejczyk SJ,
Eryk Gumulak SJ, **redakcja:** Wiaczesław
Okuń SJ, Jacek Domański SJ, Marek
Firlejczyk SJ, Jakub Niedzielski SJ,
korekta: Grażyna Berger, Małgorzata
Zajac; **kurator:** Marcin Baran SJ;
nakład: 2500 egz.; Na okładce dzieci
z Uzbekistanu; fot. Janez Sever SJ



Drodzy Czytelnicy!

Mam przyjemność oddać w Wasze ręce 41. numer „Jezuici-Nasze Wiadomości”, który jest w sposób szczególny poświęcony misjom. Naszą inspiracją jest obchodzony choć w cieniu wielkiej postaci ks. Piotra Skargi SJ rok poświęcony bł. Janowi Beyzymowi SJ, apostołowi trędowatych. W roku 2012 obchodzimy stulecie jego śmierci i dziesięciolecie beatyfikacji. Towarzystwo Jezusowe, choć dzisiaj kojarzone przede wszystkim z zaangażowaniem naukowym, duchowym i medialnym, ma u swoich korzeni bogate tradycje misyjne, z których nigdy nie zrezygnowało. Wystarczy tutaj wspomnieć, że większość spośród ponad 200 jezuickich świętych i błogosławionych to męczennicy za wiarę.

Na temat misji tak w ogólności mówi się bardzo wiele. Ogólnodostępna prasa katolicka kładzie duży nacisk na uwrażliwienie naszego społeczeństwa na problem biedy w krajach Ameryki Południowej, Afryki i Azji. Misje to jednak nie tylko praca z ubogimi. Zwłaszcza misje rozumiane przez Towarzystwo Jezusowe. Dwaj ostatni papieże w sposób szczególnie podkreślają wartość Nowej Ewangelizacji, czyli docierania z Dobrą Nowiną do krajów o korzeniach chrześcijańskich, gdzie postęp i dobrobyt przygasiły ducha wiary. Ten apel odnosi się do krajów Starego Kontynentu. Poza walką z niesprawiedliwością społeczną w świecie wkłada się dużo wysiłku w starania o wolność wyznania oraz o zachowanie własnej tożsamości.

Towarzystwo Jezusowe zapewnia młodym zakonnikom w swojej formacji możliwość spotkania ubogich pod każdą szerokością geograficzną. „Praca na granicach” hasło często przywoływane przez nasz Zakon opisuje zróżnicowanie i bogactwo tych doświadczeń. W tym numerze prezentujemy przede wszystkim świadectwa naszych najmłodszych „misjonarzy” oraz osób inspirowanych pracą jezuitów posłanych do różnych ludzi o różnych potrzebach i na różny sposób przynoszących ulgę w cierpieniu – duchowym i materialnym.

Serdecznie zachęcam do lektury!

Ryszard Dudzik SJ

Pasja Błogosławionego ojca Jana Beyzyna SJ

Wojciech Kowalski SJ



**WSZYSTKO, CO UCZYNILIŚCIE JEDNEMU Z TYCH BRACI MOICH
NAJMNIEJSZYCH... (MT 40,20)**

W tym roku przypada 100. rocznica śmierci i 10. rocznica beatyfikacji wybitnego jezuitę, Apostoła trędowatych Jana Beyzyna SJ, którego postać pragnę przybliżyć Czytelnikom „JNW”.

W 1898 roku w wieku 48 lat ojciec Jan Beyzym SJ wsiadł na statek płynący na Madagaskar, by oddać swój czas, talenty, prace i serce tym, którzy zostali wyłączeni ze społeczeństwa – ludziom chorym na trąd. Można w tym miejscu śmiało postawić następujące pytania: Jak to możliwe i co sprawia, że ktoś wyrusza prawie na koniec świata, do nieznanomych, odrzuconych i chorych Malgaszów, zamieszkuje z nimi, dba o nich, kocha ich i pozostaje z nimi aż do śmierci? Co sprawia, że ktoś decyduje się na tak skrajnie ciężkie warunki i całe swoje życie poświęca najbardziej potrzebującym ludziom na świecie? Co popycha człowieka do takich decyzji? Czy człowiek sam z siebie jest w stanie wykrzesać taki żar pasji poświęcenia się dla innych? Poruszenie to pochodzi od Ducha. Ludzie, którzy podejmowali takie kroki – misjonarze, byli ludźmi modlitwy. Na modlitwie dokonywało się odkrywanie woli Pana Boga, żeby żyć Ewangelią w sposób radykalny. Ojciec Beyzym rewelacyjnie pokazuje, że to nie jest kwestia wieku, że chrześcijaństwo nie jest tylko domeną ludzi młodych, którzy mają zapał i entuzjazm, ale że chrześcijaństwo jest żywe wówczas, gdy ktoś gorąco się modli, niezależnie od wieku. Ewangelia jest czymś żywym, to jest Duch i kiedy On zawieje i zaprosi do takiego czy innego dzieła, nie sposób Mu nie odpowiedzieć.

Postać o. Jana Beyzyna pozostaje w cieniu wielu innych polskich świętych i błogosławionych. W rzeczywistości sylwetka Błogosławionego wciąż nie jest odkryta, a jego kult, życie i działalność znane są nie licznym. Do ojca Jana, szczególnie po jego śmierci, na stałe przyłgnęły określenia: posługacz trędowatych oraz Apostoł Madagaskaru, jednakże one wskazują jedynie na obszar działalności związany z jego życiem, a mówią niewiele o nim samym. Pragnę zatem przedstawić tę niezwykłą postać człowieka o wyjątkowej wyobraźni miłosierdzia i wielkiego ducha misyjnego.

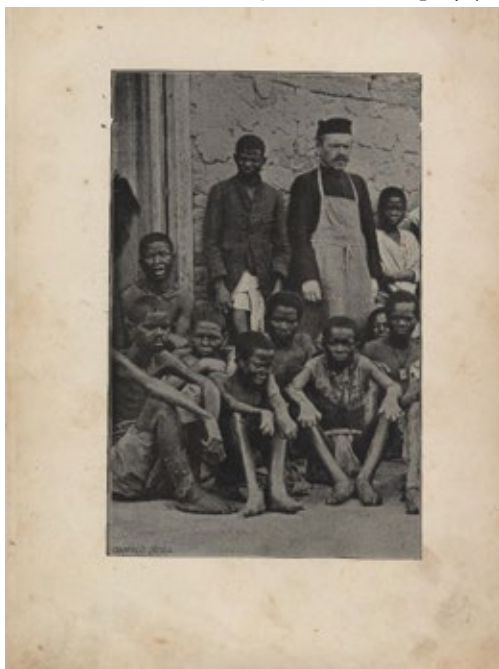
Urodzony na Wołyniu 15 maja 1850 roku, był synem powstańca. Tradycja rodzinna Beyzymów wyprowadza swój ród od przodków, którzy odznaczali się męstwem i odwagą przeciwko tatarskim najazdom. Męstwo cechowało także młodego Jana, który w czasie powstania styczniowego, podczas nieobecności ojca, przejął opiekę nad rodzeństwem. W nowej i trudnej materialnie sytuacji, młody Jan zaczął udzielać korepetycji, przepisywał urzędnicze akta i dorywczo pra-

cował fizycznie, by wesprzeć matkę i by pomóc młodszemu rodzeństwu. Potrafił zadbać o najbliższych.

11 grudnia 1872 roku Jan Beyzym wstąpił do zakonu jezuitów. Po dwuletnim nowicjacie i trzech latach filozofii, podjął pracę z młodzieżą w konwiktach tarnopolskim. Praca wychowawcza z młodzieżą przez kolejnych sześć lat w Tarnopolu oraz jedenaście lat w Chyrowie stała się głównym jego zadaniem. Jan Beyzym był ceniony zarówno przez młodzież w konwiktach, jak i przez przełożonych, którzy polecili mu udzielać corocznych ośmiodniowych rekolekcji dla wszystkich zakonników pracujących na chyrowskiej placówce. Był on przy tym nie tylko uznanym rekolekcjonistą, ale i lubianym współbratem, cenionym także za swoje poczucie humoru, wyrażane najczęściej w odniesieniu do siebie samego. Kiedy zmarł jeden z wychowawców Jana Beyzyma, ten

miał powiedzieć: „Ojciec Marian wszystko za życia robił bardzo dobrze, ale jedna rzecz nie udało mu się wcale – pomimo ogromnej gorliwości nie udało mu się z Tatara [przydomek ojca Jana] zrobić poczciwego człowieka i dobrego zakonnika. Szelmą byłem i jestem (...) Przydomek ten stąd mianowicie pochodził, że o. Jan miał wschodnie pochodzenie oraz surowy wygląd. Sympatycznością prawdopodobnie przegrałby on ze św. Franciszkiem z Asyżu, ale nie to jest ważne.... Istotne było to, że ojciec Jan potrafił swoją „tatarskością” budować głębokie i trwałe przyjaźnie. Jego uczniowie w Tarnopolu czy Chyrowie, gdzie był prefektem najtrudniejszej grupy chłopców, także zwracali się do niego „Ojzce Tatar”. Po latach, gdy jako misjonarz pisał do nich listy z Madagaskaru, zwracał się do nich „moje drogie łotry”. Widać w tej życiowej, męskiej przyjaźni, prawdziwe uczucie przywiązania, swojskości i szacunku. Poza obowiązkami, chętnie oddawał się swo-

bl. o. Jan Beyzym SJ wraz z podopiecznymi chorymi na leprę;
fot. <http://polona.pl/dlibra/doccontent>





fot. Przemysław Stadnik SJ

jemu hobby, rzeźbiarstwu i hodowli kwiatów, także to czyniąc z pasją i z zaangażowaniem, zgodnie z jego osobistą maksymą, którą nierzadko dzielił się z innymi, mówiąc: „My Panu Bogu służymy, dla nieba pracujemy! Nie powinniśmy dać się zawstydić w pracy i poświęceniu ludziom służącym rzeczom doczesnym, żyjącym tylko dla ziemi”.

Będąc duchowym synem świętego Ignacego Loyoli, ojciec Bezym podążał drogą „magis” (więcej, bardziej), która budziła w jego sercu niezaspokojone pragnienie czynienia czegoś więcej. Był to pewien twórczy niepokój, święty niepokój, by podejmować coraz to nowe, heroiczne wyzwania. Ewangelia, którą Jan Bezym ukochał całym sercem, Dobra Nowina i duchowość Ignacego Loyoli, były ziarnem, które wpadło w gorące serce Tatara, zakwaszało je niczym ewangeliczny zaczyn, czyniąc z ojca Bezyma chrześcijanina coraz bardziej upodabniającego się do Chrystusa oraz jezuitę gotowego wcielać w życie ideały Założyciela, kochając i służąc we wszystkim.

Kroczenie drogą magis, doprowadziło w końcu ojca Jana do generała jezuitów, którego w listach prosił o wysłanie na misje do trędowatych. Czuł przynaglenie, w którym magis ukierunkowywało go na pracę wśród najuboższych. Upominając się u przełożonych o rozpatrzenie swojej prośby, która powoli stawała się coraz bardziej natrętna, dodawał: „Ciągłe mnie coś nagli, żebym tę sprawę poruszał”. A kiedy w końcu wyjechał na upragnione misje, miał przekonanie, że sam będzie trędowaty, dodając przy tym, że go to wcale nie straszy. Postawił

na ostrzu noża swoje życie zakonne. Wystawił dla innych całe swoje życie. Miał wówczas 48 lat.

Madagaskar, gdzie Jan Bezym dotarł w 1898 roku, ukazał w całej pełni serce niemłodego już misjonarza. W liście do Polski, który napisał natychmiast po znalezieniu się w koloniach trędowatych, relacjonował faktyczne położenie ludzi opuszczonych, zostawionych chorobie i śmierci, konkludując: „Nikogo przy nich nie ma”. W czasach, gdy trąd był nieuleczalny, a trędowatych uważano za żywe groby, w czasach gdy pojawiały się głosy, by zarażonych eliminować, o. Jan Bezym zamieszkał wśród nich. W dziejach misji na Madagaskarze był pierwszym kapłanem, który zamieszkał na stałe z chorymi na trąd. Wstawał o 3.30 rano, chodził spać o 22.00 – można powiedzieć, że niewiele miał czasu na wypoczynek, ale to musiało wystarczyć – byle tylko móc przebywać i nieść ulgę chorym, dzieląc z nimi czas, jedzenie i wiarę.

Obecność pośród trędowatych rychło zrodziła w nim myśl o wybudowaniu dla nich szpitala. Tym większe było to przedsięwzięcie, że ojciec Jan nie miał na ten cel ani grosza. Uzyskał pozwolenie na budowanie pod warunkiem, że zbiera wcześniej 30 000 franków. Wkrótce pomnożono tę sumę i mówiono już o 150 000. Nie zniechęcił się, lecz tylko skomentował: „Choćby miał kosztować nie 150 000, ale i miliony,

to będzie szpital”. Całe to dzieło powierzał Matce Najświętszej, wielokrotnie pisząc w listach do Polski: „Matka Boża wystawi i się zatroszczy”. Nie miał protektorów ani banków światowych, które by finansowały budowę, ale miał coś, co go pchało do przodu, miał wyobraźnię miłosierdzia; to ona go syciła i pomagała wierzyć. Także mimo utrudnień, mimo nie do końca przyjaznej polityki kolonialnego rządu, mimo wahania się i braku decyzji ze strony lokalnego biskupa, trwał przy swoim. Budowa szpitala trwała mniej więcej 10 lat. Najpierw, w roku 1899 zrodziła się idea szpitala, potem, w 1902 Jan Bezym otrzymał pozwolenie na budowę i wreszcie w roku 1911 nastąpiło otwarcie szpitala. Ojciec Jan wspomina, że ogromne znaczenie dla niego miał fakt, że szpital powstał dzięki darom z Polski, bo pragnął aby: „Jakoś to lepiej wy-

Portret bł. Jana Bezyma SJ
(1850 - 1912) w Starej Wsi





Studnia symbolizuje życie i dążenie do celu;
fot. Przemysław Stadnik SJ

glądało i ściągnęło by większe błogosławieństwo Boże”. Te dary płynęły z Polski nieustannie przez 10 lat...

W czasie swojego pobytu na Madagaskarze ojciec Jan pisał listy do Ojczyzny. Opisywał w nich swoją pracę, lecz przede wszystkim prosił w nich o pomoc w budowaniu szpitala. Jałmużny potrzebował, ale listów jakoś tak za bardzo pisywać nie chciał. Trochę się w tych listach żalił, że musi pisać, dodając przy tym w swoim żartobliwym stylu: „Czy się mi kiedy, staremu durniowi śniło, że będę z całym światem korespondował?”. Listy ukazywały niezłomną wiarę ojca Jana, opisywały jego codzienne życie, nie brakowało w nich także poczucia humoru, które w obliczu częstych przeciwności, pomagało misjonarzowi z dystansem i z ufnością w Opatrzność podchodzić do wielu spraw. Będąc już jakiś czas poza Ojczyzną, miał pisać: „Już od sześciu lat polskiej mowy nie słyszałem... Oby tylko Pan Jezus pozwolił do nieba się dostać, a tam po polsku mówią”. Innym razem, kiedy już gotów był rozpocząć budowę szpitala, a opieszałość biskupa plus rozmaite utrudnienia stawały się nieznośne, pisał: „Matce Najświętszej zawdzięczam, że się jeszcze nie wściekłam i nie zwariowałam”. Dodając z oburzeniem: „Co mi tam ich wszystkie rządy, mój rząd to sama Najświętsza Pani. Jak Ona rozporządzi, tak będzie, a nie jak rząd francuski. Wszystkim wciąż mówię, że szpital będzie otwarty i to za aprobatą rządu, boć kazała budować Matka Najświętsza, więc też i obronić potrafi od napaści wrogów”. Powierzenie wszystkich spraw opiece Matki Bożej było aktem wynikającym z głębokiej miłości do Niej i szczególnego przywiązania. Warto

wspomnieć, że jedną z pierwszych czynności, jaką ojciec Jan wykonał w kościółku, w którym gromadzili się chorzy Malgasze, było umieszczenie w ołtarzyku obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Chwalił się tym ojciec Jan, pisząc do przyjaciela: „Starzy byli zadowoleni, że Nasza Pani czarna jak oni. A dzieci tańczyły z radości”. Także szpital, ukończony w 1911 roku, nosił imię Matki Boskiej Częstochowskiej. Stoi on i działa do dziś.

W kontekście listów i uwag, którymi ojciec Jan się dzielił z przyjacielem, szczególnie jedna, napisana niejako na marginesie, ma moc poruszenia Czytelnika do głębi. Ojciec Jan pisze: „Najbardziej markoci mnie to, że tyle lat przeżyłem, a jeszcze prawie nic nie zrobiłem dla większej chwały Bożej”. Te słowa napisał w liście do przyjaciela, kończąc 60 rok życia i 12 rok pobytu na Madagaskarze. Być może w tym właśnie momencie zaczął, jak sam wspomina, odczuwać jakąś siłę wewnętrzną, jakiś nowy wiatr, pchający go ku nowym dziełom, na wyspę Sachalin, gdzie pragnął popłynąć po to, by nieść Chrystusa więźniom. Było ich pięciuset... Jak się jednak okazało, był to podmuch wiatru nie w stronę Azji, lecz w stronę Królestwa Niebieskiego. Ojciec Jan zmarł niedługo po tym, podtrzymując w sobie pragnienie popłynięcia do skazańców, by im głosić wolność.

Będąc duchowym synem św. Ignacego Loyoli, Jan Beyzym urzeczywistnił i wypełnił czynami maksymę „kochać i służyć we wszystkim”, dokładnie tak, jak to przedstawił, wyrażając przy tym swoje pragnienie, nasz Ojciec założyciel, aby miłość opierała się bardziej na czynach niż na słowach. Ogromnie istotnym krokiem podkreślającym wielkie zasługi Jana Beyzyma, był rozpoczęty proces beatyfikacyjny – zainicjowany przez polskich jezuitów, na czele z ojcem Czesławem Drażkiem SJ. Jan Paweł II wyniósł ojca Jana Beyzyma na ołtarze w roku 2002, ogłaszając go, błogosławionym Kościoła. Tym samym dany nam został patron, który może wypraszać nam łaskę życia według wyobraźni miłosierdzia, „wyćwiczony” w sprawach trudnych i beznadziejnych. On wbrew wszystkiemu i z poczuciem humoru może uczyć nas stawać się ludźmi miłosierdzia, ludźmi oddanych służbie najuboższym. ■

KALENDARIUM:

- | | |
|-------------|---|
| 15 V 1850 | – narodziny w Bezymach Wielkich na Wołyniu |
| 1864-1871 | – nauka II Gimnazjum w Kijowie |
| 1872-1874 | – odbycie Nowicjatu Towarzystwa Jezusowego w Starej Wsi |
| 1874-1881 | – humaniora, studia filozoficzne oraz teologiczne w Starej Wsi i Krakowie |
| 26 VII 1881 | – przyjęcie święceń kapłańskich z rąk bpa Albina Dunajewskiego |
| 1881-1887 | – praca w konwikcie w Tarnopolu |
| 1887-1898 | – praca w Chyrowie |
| 1898 | – wyjazd na Madagaskar, praca wśród trędowatych |
| 2 X 1912 | – śmierć na Madagaskarze |
| 18 VII 2002 | – beatyfikacja przez papieża Jana Pawła II |

Z jedną nogą uniesioną czyli ...

Aleksander Jacyniak SJ



DZIAŁALNOŚĆ MISYJNA U PODSTAW TOWARZYSTWA JEZUSOWEGO

Towarzystwo Jezusowe od samego początku było i nadal jest zakonem misyjnym. Każdy szanujący się historyk nie może nie zauważyć, iż wysiłek misyjny, z wszystkimi jego zróżnicowanymi aspektami wpisuje się w całą ponad 470-letnią historię naszego zakonu. Jezuiti zaangażowali się i angażują w działalność misyjną na wszystkich kontynentach. Była to nieraz posługa realizowana w warunkach ekstremalnie trudnych. Wystarczy wspomnieć o działalności na Alasce, w Kanadzie w XVII wieku, w Peru, w Brazylii (to właśnie jezuita, o. G. Anchieta, stał u początków wielkiej dzisiejszej aglomeracji miejskiej São Paulo), w Afryce, Indiach, na Filipinach czy w Chinach (gdzie prowadził działalność o. Matteo Ricci), a wreszcie w Japonii, tak drogiej jezuitom choćby ze względu na fakt, że pierwszym misjonarzem, który niósł tam Dobrą Nowinę był przyjaciel Ignacego Loyoli, Franciszek Ksawery. Dzięki jego działalności powstała tam i rozwijała się wspólnota chrześcijan, która w 1593 roku liczyła ponad 100 tysięcy wiernych. To właśnie tam jezuiti cierpieli na skutek niezwykle okrutnego i długiego prześladowania w latach 1598-1632, kiedy wielu z nich zginęło śmiercią męczeńską, a mimo to w 1614 roku aż 70 młodych jezuitów, którzy studiowali w Kolegium w Coimbrze w Portugalii, wystosowało prośbę do przełożonego generalnego, by mogli udać się na misje do Japonii.

Rodzi się pytanie, skąd zrodził się aż tak wielki zapał misyjny i wytrwałość w nim, która trwa do początków istnienia naszego zakonu do dziś. O. Candido de Dalmases SJ w swej książce pt.: „Człowiek, który widział wszystko” napisał: „Towarzystwo Jezusowe od samych narodzin i ze swej istoty jest zakonem wybitnie misyjnym. Jego celem, jak to wyraża bulla z 1540 roku, zatwierdzająca Towarzystwo, jest krzewienie wiary. Profesi składają specjalny ślub posłuszeństwa papieżowi; zobowiązują się tym ślubem, że pójdą – bez żadnych wymówek – do jakiegokolwiek części świata, gdzie tylko papież zechce ich posłać: czy to do Turków, czy też do innych niewiernych, nawet w tamte strony, które zwą Indiami”. Gotowość pójścia wszędzie, do wiernych lub niewiernych, jest postawą, której się wymaga od kandydatów do Towarzystwa.



Św. Franciszek Ksawery SJ (1506-1552), jeden z pierwszych towarzyszy św. Ignacego Loyoli, został ogłoszony głównym patronem misji katolickich w 1927 roku przez papieża Piusa XI.

Początków misyjnego charakteru zakonu należy szukać w osobistym powołaniu Ignacego. Jeśli dla nawróconego w Loyoli pielgrzymka do Ziemi Świętej mogła być przelotnym gestem pobożności, to dla odprawiającego ćwiczenia duchowne w Manresie stała się już życiowym planem. Kiedy bowiem odpływał do Jerozolimy, miał silne postanowienie pozostania tam na zawsze, aby pomagać duszom, w tym konkretnym przypadku mahometanom i innym mieszkańcom kraju.

Ślub złożony w 1534 roku na Montmartre przez Ignacego i pierwszych towarzyszy, a później odnawiany przez dwa następne lata – miał również charakter misyjny. Jak pisze o. Polanco, chcieli oni „udać się do Jerozolimy, a potem, gdyby to było możliwe, głosić słowo Boże wśród niewiernych albo wśród nich umrzeć dla wiary w Jezusa Chrystusa. I ten zamiar nie mógł dojść do skutku. Ale to pozorne niepowodzenie pomogło im rozszerzyć swe horyzonty i objąć swoim spojrzeniem cały świat”.

Ignacy, wybrany na generała Towarzystwa, nie mógł być misjonarzem. Nie mogąc osobiście udać się na misje, musiał zadowolić się tym, że jest misjonarzem działającym z Rzymu: wysyłał na misje wielu swoich synów, dawał im mądre instrukcje, czytał z wielkim zainteresowaniem otrzymywane od nich sprawozdania, pocieszał ich i dodawał odwagi w listach, które sam pisał.

I od tamtych początków Towarzystwo pozostało wierne poleceniu Jezusa: „Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody, udzielając im chrztu w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Uczcie je zachowywać wszystko, co wam przykazałem” (Mt 28, 9-20). Pozostało też wierne marzeniom i sugestiom dawanym przez założyciela zakonu. ■



Makieta pierwszych misjonarzy jezuitów w Muzeum w São Paulo, fot. Przemysław Stadnik SJ

Przy pisaniu artykułu korzystałem z książki: Candido de Dalmases SJ, „Człowiek, który widział wszystko: Ignacy Loyola. Życie i dzieło”, przekł. ks. B. Steczek SJ, ks. A. Wolanin SJ, wyd. WAM, Kraków 1990.

Dlaczego **Paragwaj**?

Przemysław Stadnik SJ



PRAGNIENIE MISJI INSPIRACJĄ DLA ŻYCIA ZAKONNEGO

Ludzie często pytają mnie: „Jak to się stało, że tam pojechałeś? Dlaczego akurat do tego kraju, a nie do Brazylii czy gdzieś do Afryki?”. Przeważnie niechętnie odpowiadam na tego typu pytania. Jednak chciałbym na nowo podzielić się tym doświadczeniem. Tak właśnie zaczęła się moja przygoda z Paragwajem.

Cała ta sprawa jest mocno zakorzeniona w historii mojego powołania i nawrócenia. To doświadczenie było źródłem inspiracji oraz momentem, w którym zapragnąłem zrobić więcej dla Pana Boga. Myślę, że otrzymałem powołanie misyjne, choć początkowo nie wiedziałem, jak to przeżywać i co powinienem z tym zrobić. Wtedy jeszcze nie znałem Towarzystwa Jezusowego. Pewnego razu, przypadkowo, dowiedziałem się o zakonie jezuitów, a także o jego założycielu Ignacym Loyoli. Przeżyłem rekolekcje ignacjańskie, podczas których poznałem swojego kierownika duchowego. Wiele mu zawdzięczam, gdyż on pomógł mi ułożyć w całość mocno porozbijane życie.



Wodospad Iguazú znajduje się na granicy Brazylii i Argentyny, dawniej Paragwaju; fot. Przemysław Stadnik SJ

Duże wrażenie wywarł na mnie również film „Misja”, po którym sięgnąłem po lekturę na temat działalności jezuitów w Ameryce Łacińskiej. Dowiedziałem się o jezuitach, którzy w czasie kolonizacji Nowego Świata, stanęli w obronie Indian z plemienia Guarani. Zakładali oni tzw. redukcje, które były kilkutyśiecznymi miasteczkami. Bardzo mnie zainteresowała ta historia. Pomyślałem, że to jest naprawdę coś wielkiego; coś, co warto by było przeżyć osobiście. Zaczytywałem się również w *Dziejach Apostolskich*, a św. Paweł towarzyszył mi i rozpałał moje pragnienia misyjne. Zapragnąłem przeżyć przygodę swojego życia w kraju, który ma tak niesamowitą historię, na innym kontynencie niż Europa. Wtedy już wiedziałem, że Paragwaj jest moją „ziemią wybraną”. Zacząłem przedstawiać Bogu moje pragnienia. Przekonałem się na własnej skórze, że dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych.

Rozpocząłem naukę języka hiszpańskiego i nawiązałem kontakt z prowincjałem jezuitów w Paragwaju. Zaczęło się od krótkiej wymiany informacji, a z czasem nasza korespondencja przeobraziła się w konkretne plany mojego wyjazdu na kontynent amerykański. Podczas wizyty prowincjała Paragwaju w Polsce, omówiliśmy szczegóły mojego przyjazdu. Bardzo się cieszyłem, choć zdawałem sobie sprawę z ogromnego wyzwania, jakie stoi przede mną. Zostałem wysłany na kurs języka hiszpańskiego do Salamanki w Hiszpanii. Po kursie został mi tylko tydzień na spakowanie się i pożegnanie z najbliższą rodziną oraz przyjaciółmi. Ciężko opisać, jak się czułem w tamtej chwili, gdy zostawiałem całe swoje życie i wyruszyłem w nieznaną. Wszystko dla odkrywania Boga i poszukiwania „własnej legendy”.

Już od początku zetknąłem się z wielką otwartością i życzliwością tamtejszych ludzi. Wspólnota jezuitów przyjęła mnie z dużym entuzjazmem, natomiast ludzie z miasteczka patrzyli na mnie jak na przy-

Wiele dzieci w Paragwaju wychowuje się bez rodziców. Poniżej wspólna zabawa, w rezerwacie Indian Guarani.
fot. Przemysław Stadnik SJ



bysza z innej planety. Starali się nie zwracać na mnie uwagi, a jednak wnikliwie obserwowali moje zachowanie. Naprawdę wywoływałem sensację i entuzjazm wśród miejscowych. Przyjechałem z nieznanym im Polski i wielu było takich, którzy nie mieli zielonego pojęcia, gdzie znajduje się ten kraj. Ciekawe, że im dłużej przebywałem wśród Paragwajczyków, tym bardziej zapominałem, że się od nich odróżniam; mieszkańcy Paragwaju byli gościnni i przyjaźnie nastawieni do mnie.



Figurka św. Ignacego Loyoli
w jezuickiej kaplicy
w Paragwaju;
fot. Przemysław Stadnik SJ

Najbardziej jednak dotknęła mnie przerażająca ludzka bieda, która była widoczna na każdym kroku. Paragwaj, podobnie jak cała Ameryka Południowa, jest krajem olbrzymich kontrastów społeczno-ekonomicznych. Nie dało się nie widzieć tej całej masy ludzi, która każdego dnia walczy o przetrwanie. W takiej sytuacji rodziły się we mnie pytania o sprawiedliwość i jeszcze bardziej wzrastały we mnie pragnienia niesienia pomocy najuboższym. Za każdym razem, gdy byłem zapraszany, aby zjeść posiłek u jednej z miejscowych rodzin, ścisnęło mnie w gardle. Nie tyle z powodu skromnego jedzenia, ale ze wzruszenia, że ktoś w swojej biedzie może być tak hojny. To właśnie doświadczenie jest najcenniejszą rzeczą, jaką przywiozłem z Paragwaju!

Na zawsze utkwiał mi w pamięci widok błakających się bezdomnych ludzi po ulicach. Nierzadko były to indiańskie kobiety z małymi dziećmi na rękach, proszące na każdym kroku o pieniądze. Towarzyszył mi również wszechobecny widok dzieci, które zbierają kartony czy trudnią się drobnym handlem i którym bezpowrotnie skradziono dzieciństwo! Takie widoki to codzienność na ulicach miasta Asunción, które jest stolicą Paragwaju. Rodzi się pytanie: Czy samym mówieniem da się coś zmienić? Czy można jakoś pomóc tym, których w życiu spotyka tak wielka niesprawiedliwość? Myślę, że najlepszą odpowiedzią może być jedynie wyjście poza własne wygodne podwórko i osobiste włączenie się w dzieło pomocy takim właśnie ludziom. Jest przecież tyle możliwości!

Po roku pobytu w Ameryce Łacińskiej wróciłem jednak do Polski. Mój pobyt wśród jezuitów paragwajskich i tamtejszej ludności pokazał mi, że można zupełnie inaczej patrzeć na świat i całą rzeczywistość. Niesamowite było dla mnie zetknięcie z obcym światem, jednakże nie z perspektywy turysty, ale jako osoby gotowej poznawać, zrozumieć i pokochać to, co jest najistotniejsze, czyli wspaniałych ludzi. Piszę tak, ponieważ często w swoich modlitwach i pragnieniach powracam do tamtego doświadczenia: do przyjaciół, którzy tam zostali, do ubogich ludzi oraz miejsc, które są dla mnie tak bardzo bliskie. Po prostu tęsknię czasami za misją... ■

Służyć towarzyszyć orędować

Jarosław Mikuczewski SJ



PRACA W JEZUICKIM OŚRODKU POMOCY UCHODźCOM NA MALCIE

Te trzy słowa: służyć, towarzyszyć i orędować, stoją u podstaw jednej z najprężniej działających światowych organizacji pozarządowych, zajmujących się uchodźcami. Jezuicki ośrodek pomocy uchodźcom (ang. JRS, Jesuit Refugee Service) powołany został do życia w roku 1980 przez ówczesnego generała zakonu ojca Pedro Aruppe SJ, który w ten sposób odpowiedział na dramatyczną sytuację wietnamskich uchodźców, opuszczających swój kraj na małych rybackich łódkach. Obecnie ośrodki JRS-u funkcjonują w 51 krajach, służąc pomocą prawną, medyczną i duchową tym, którzy uciekli przed wojną, głodem i skrajnym ubóstwem. Szacuje się, że każdego roku z pomocy JRS-u korzysta blisko pół miliona ludzi na całym świecie, dla których kontakt z ośrodkiem jest prawdopodobnie jedyną szansą na otrzymanie wszechstronnej pomocy. JRS tworzą ludzie, dla których pomoc bliźniemu jest nadrzędną wartością. Wśród 1 400 pracowników 78 stanowią jezuici; jestem jednym z nich.

Poniżej na wspólnym zdjęciu autor artykułu razem z uchodźcami z Afryki.



Od prawie dwóch lat posługuję na Malcie wśród uchodźców afrykańskich. Ta mała wyspa na Morzu Śródziemnym stanowi pierwszy europejski przyczółek dla uchodźców afrykańskich. Dla 400 000 społeczności maltańskiej obecność 7 000 emigrantów to poważne wyzwanie. Szczególnie trudny okazał się ubiegły rok, kiedy to trwające walki powstańcze w Libii zmusiły do ucieczki z tego kraju kilkadziesiąt tysięcy Afrykańczyków. Podobnie jak wspomniani już wietnamscy uchodźcy, oni również pokonują morze na małych rybackich kutrach. Dla wielu podróży ta kończy się tragicznie. Przepelnione, niedostatecznie wyposażone łodzie nie mają większych szans



bl. Jan Bezym SJ;
rys. Przemysław Wysogład SJ

w starciu z silnymi prądami morskimi oraz kilkumetrowymi falami. Tylko w zeszłym roku morze pochłonęło 2200 uchodźców. Niestety ten rok nie będzie lepszy, niemal każdego dnia docierają do nas informacje o kolejnych zaginionych łodziach. Dla tych, którzy szczęśliwie dobiją do brzegów Europy, rozpoczyna się kolejny, trudny etap ich wędrówki ku bezpieczeństwu i wolności.

Spotykam ich każdego dnia, z wieloma znamy się z imienia, wielkość języków, kultur, religii ale jedno pragnienie żyć w pokoju. Kiedy rozpoczynałem moją posługę wśród uchodźców afrykań-

skich bardzo szybko zdałem sobie sprawę jak rozległe i wieloaspektowe będzie to zadanie. Przede wszystkim w centrum znalazł się człowiek z jego bolesnym doświadczeniem. Moją posługą była wpięrow słuchaniem historii życia. Po kilku miesiącach miałem już dość sporą wiedzę o wszelkiego rodzaju bolączkach trapiących ląd afrykański i jego mieszkańców. Konflikty, o których nie miałem żadnego pojęcia, korupcja i wyzysk światowych korporacji, prześladowania religijne, walki plemienne, klęski głodu. Całe to bolesne doświadczenie znajdowało ujście w naszych rozmowach. Myliłem się, uważając, że mój czas spędzany na słuchaniu i prostym byciu z drugim może być efektywniej zastąpiony przez organizowanie różnorodnych „akcji”, takich jak choćby zbiórka odzieży. Pamiętam jedno spotkanie w obozie dla uchodźców. Młody Nigeryjczyk, Johnny, na koniec naszej rozmowy powiedział mi coś, co pozwoliło mi bardziej zrozumieć, czym jest prawdziwa pomoc drugiemu. Jego słowa były proste: „...dziękuję, że mnie wysłuchałeś, byłeś pierwszą osobą od kilku miesięcy, która poświęciła mi więcej niż 5 minut. Ja bardziej potrzebuję wysłuchania niż nowej pary dżinsów”. Chyba łatwiej nam chodzić w jednej parze spodni przez kilka miesięcy niż trwać w atmosferze obojętności i braku wysłuchania.

Myślę w tym miejscu o moim wielkim współbracie Błogosławionym Janie Bezymie, Posługiwaczu Trędowatych. Przed oczami mam jedno zdjęcie, na którym ojciec Jan stoi w towarzystwie swoich pacjentów. Z tego zdjęcia emanuje jakaś niesamowita atmosfera braterstwa, bycia z drugim w jego cierpieniu, próba zrozumienia go i ostatecznie konkretne działanie.

Każdego dnia nasze biuro odwiedza kilkudziesięciu uchodźców. Przychodzą po poradę prawną, medyczną, po żywność, ubranka dla dzieci, lekarstwa, pieluszki. Przychodzą powiedzieć, że wreszcie znaleźli pracę lub nowe lokum. Dzielą się z nami tym, co jest dla nich radością. Pukają do drzwi, które jak sami częstą mówią, zawsze się otworzą, i nie chodzi tu o to, by zawsze coś dostać w sensie materialnym, ale by zostać przyjętym. Nie liczę już wizyt pewnego starszego Somalijczyka, który przychodzi do biura dość regularnie tylko po to, by poprosić nas, po raz kolejny, o rzecz niemożliwą: przyznanie mu statusu uchodźcy. Już przestałem tłumaczyć mu, że to nie my o tym decydujemy, a rząd maltański, i że nie możemy w tej sprawie nic więcej zrobić, zresztą myślę, że doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Zawsze jednak proponuję mu kubek kawy, każdorazowo pytając ile słodzi, choć wiem doskonale, że trzy i pół łyżki bez mleka. Mohamet, pozostaje jakiś czas w biurze, opowiadając mi łamaną angielszczyzną, jak to mu się żyło w Somali przed rewolucją, jak stracił swoje dzieci, jak przemierzał Saharę w przyczepie samochodu dostawczego, mając z sobą tylko pięć litrów wody, jak w piasku pustyni chował młodą kobietę z niemowlęciem, dla której ta przeprawa okazała się zbyt trudna... Na koniec myje swój kubek, zabierając również i mój, pozdrawia mnie słowami „niech Allah cię strzeże” i wychodzi. Bez upragnionego statusu uchodźcy, bez worka ubrań, bez dywanu, krzesła czy małej lodówki, ale wierzę, że znalazł coś cennego dla siebie i na pewno po to wróci.

Po pewnym czasie pracy z Afrykańczykami stało się dla mnie jasne, że w ich sercu bardzo mocno zakorzenione są trzy rzeczy, zaczynając od najważniejszej - jest to wiara, dalej muzyka i wreszcie football. Te dziedziny wzajemnie się przenikają. Na przykład, nie słyszałem jeszcze pieśni wykonywanych przez uchodźców afrykańskich, które nie wypływałyby z przeżywanej przez nich wiary. Odnoszę wrażenie, że śpiew dla Afrykańczyków jest przede wszystkim rodzajem modlitwy. Każdej niedzieli, gdy gromadzimy się z grupą około czterdziestu uchodźców na Eucharystii, zawsze towarzyszy nam śpiew. Niekiedy Msza święta wydłuża się do prawie dwóch godzin, stając się przestrzenią, w której śpiew jest kanałem, niosącym do Boga nie tylko piękne, proste teksty, ale również cała gama emocji, nadziei i lęków. Dla nas, wychowanych w kulturze „pana organisty”, doświadczenie żywego śpiewu robi ogromne wrażenie.

Tak jak śpiew stanowi muzyczny kanał służący do komunikowania się z Bogiem, tak football stanowi jego sportowy odpowiednik. Pytanie: Co jest twoim ulubionym sportem? budzi w Afrykańczykach zdziwienie; to oczywiste, że football jest pierwszy. Gdy powołaliśmy do życia pierwszą drużynę piłkarską, złożoną wyłącznie z uchodźców afrykańskich, nie sądziliśmy, że już po paru tygodniach na naszej liście



Dzięki piłce nożnej budujemy jedność pomiędzy nami oraz przestrzeń do spotkania; fot. ze zbiorów własnych

będzie widniało ponad pięćdziesiąt nazwisk. Mamy zawodników z 7 krajów afrykańskich, ponad połowa z nich przed opuszczeniem swojego kraju grała w profesjonalnych klubach. To wyjątkowe uczucie widzieć zawodników, których kraje wzajemnie z sobą walczą, grających w jednym zespole. To niewątpliwie boisko nadziei, gdzie powraca wzajemne zaufanie i braterstwo. Obecność naszego zespołu jest również pozytywnym znakiem dla lokalnej społeczności maltańskiej, która poprzez wspólne mecze piłkarskie łatwiej otwiera się na proces integracji z uchodźcami. I kto wie, może już niedługo któryś z naszych graczy wzmocni którąś z europejskich drużyn.

Jeśli zapyta mnie ktoś, ile daję tym ludziom, śmiało odpowiem, że znacznie więcej od nich biorę. Wiele nauczyłem się, obserwując ich niezwykłą determinację. Zaczynam rozumieć, jak cenny jest dar pokoju i wolności, i jak często my o tym zapominamy. Jak wielka może być tęsknota za swoją ojczyzną, za bliskimi, jak bardzo boli, gdy trzeba uciekać ze swojej ziemi. Ogromnie dużo czerpię obserwując proste a jednocześnie niezwykle silne świadectwa wiary. Nigdy wcześniej nie byłem świadkiem tak niezwykłej ufności w Opaczność Bożą, jaką odnalazłem w obozach dla uchodźców. Wiara, która dla nas, Europejczyków, jest sprawą wyłącznie prywatną, o której nie powinno się publicznie dyskutować, której symbole powinny zniknąć z przestrzeni publicznej, dla Afrykańczyków jest czymś tak naturalnym jak oddychanie. To może dziwnie zabrzmieć, ale gdy próbowałem wytłumaczyć młodemu Afrykańczykowi, jak wygląda kwestia przeżywania wiary przez Europejczyków, że nie każdy tutejszy urzędnik uzna fakt jego ocalenia z niebezpiecznej przeprawy przez morze, jako znak Bożej Opatrzności, i że spotka osoby, które otwarcie powiedzą mu że w Boga

po prostu nie wierzą, zaskoczony odpowiedział mi, że to bardzo dziwne i że nam współczuje. Czy nie daje nam to wiele do myślenia? To tylko my, bogaci Europejczycy, mamy prawo współczuć tym biednym Afrykańczykom i to my wspaniałomyślnie im coś ofiarujemy, za co powinni być dozgonnie wdzięczni... Przystałem już wierzyć w taki układ. Rzeczywistość bywa często zupełnie inna.

Służyć, towarzyszyć, orędownać, trzon każdej pracy misyjnej zawsze przynosi wspaniałe owoce i nie ma znaczenia, czy pojawią się one od razu, czy wzrastać będą powoli, wytrwale, by okazać się w pełni po stu latach od śmierci wiernego ogrodnika. Misja jest tam, gdzie jest człowiek, nie jest ona przypisana tylko do gorącej ziemi afrykańskiej czy dalekich Indii. Miejska dżungla, pustynia obojętności w naszych rodzinach czy wspólnotach to tereny misyjne dla każdego z nas. Niech Błogosławiony Ojciec Bezym będzie dla nas inspiracją do podjęcia tej posługi. ■

Malta znajduje się na Morzu Śródziemnym. Jest państwem składającym się z archipelagu wielu Wysp Maltańskich, na południe od Sycylii. Jest uważana za najbardziej katolicki kraj w Europie; fot. sxc.hu



Misje Jezuici

misjejezuici.blogspot.com

Blog Biura Misyjnego
Jezuitów Prowincji Wielkopolsko-Mazowieckiej

Dowiedz się:

- o działalności misyjnej polskich Jezuitów
- czym zajmujemy się na co dzień
- jak możesz wspomóc naszą działalność misyjną
- jak zostać wolontariuszem

Podejmujemy nową inicjatywę wolontariatu w Polsce i za granicą.

Jezuicki Wolontariat Społeczny



www.wolontariat.jezuici.pl

Biuro Misyjne Jezuitów
Prowincji Wielkopolsko-Mazowieckiej

Konto bankowe:
Biuro Misyjne
64203000451110000001018520

ul. Narbutta 21
02-536 Warszawa



Misja jezuitów w Południowym Sudanie

Tomasz Nogaj SJ



Rolnictwo i nauka uprawy ziemi to powręczna część życia w Afryce;
fot. ze zbiorów własnych

Prowincja Afryki Wschodniej (AOR) to mikrokosmos Towarzystwa Jezusowego. Obecnie znajduje się tam prawie 200 jezuitów: mieszkających, studiujących bądź pracujących we wspólnotach w Etiopii, Kenii, Sudanie, Republice Południowego Sudanu, Ugandzie i Tanzanii. Historia tej prowincji sięga 1542 roku w Kenii i 1553 roku w Etiopii, gdzie przybyli pierwsi jezuiti. Patrząc jednak z perspektywy czasów nowożytnych, mija dopiero 25 lat, od kiedy Prowincja Afryki Wschodniej została formalnie powołana jako jedna z najmłodszych prowincji Towarzystwa Jezusowego na świecie. Jej srebrny jubileusz przypada właśnie na rok 2012.

Święty Ignacy Loyola nie wyznaczył Towarzystwu Jezusowemu jakiegось specjalnego zajęcia, czy pola działania. Jezuiti mają pracować tam, gdzie można, według zasady „magis”, więcej, bardziej służyć Bogu i więcej pomagać ludziom, szczególnie w miejscach trudnych, najbardziej zaniedbanych lub zagrożonych, jednym słowem na granicach.

Jak czytamy na kartach historii Towarzystwa jeszcze za życia Ignacego jezuiti docierają na Daleki Wschód, do Afryki i Ameryki – tam gdzie Ignacy chciał by Towarzystwo Jezusowe dotarło z Dobrą Nowiną na polecenie papieża. Popatrzmy przez chwilę na św. Ignacego, który przygląda się i powierza w wielogodzinnych czuwaniach i modlitwach dynamicznie rozwijającą się działalność apostołską swoich pierwszych współbraci. Tak właśnie wyobrażał sobie misję Towarzystwa Jezusowego i za tym natchnieniem podążał.

O sytuacji w Republice Południowego Sudanu

Warto zaznaczyć, że pierwsza wojna domowa zaczęła się w Sudanie w 1956 roku i trwała do lat 80. XX wieku. Od roku 1983 działała organizacja zbrojna SPLA (Ludowa Armia Wyzwolenia Sudanu), dążąca do niepodległości regionu. W tym samym roku wybuchła też wojna domowa, jeden z najbardziej krwawych konfliktów na świecie, który pochłonął około 2 mln ludzi oraz zmusił do ucieczki kolejne 4 miliony. W czasie drugiej wojny domowej (1983-2005) w Sudanie dochodziło kilkakrotnie do masakry ludu Dinka. Islamskie siły rządowe (Khartoum - stolica Sudanu) próbowały krwawo tłumić rebelię na południu kraju. Ten długi okres zakończyło dopiero podpisanie, 9 stycznia 2005 roku, porozumienia z sudańskim rządem, nadającego 10 południowym prowincjom autonomię. W grudniu 2005 roku przyjęto konstytucję, a także zaplanowano przeprowadzenie referendum niepodległościowego. Podpisane porozumienie ustalało wspólnie zarząd i podział zysków z wydobycia ropy naftowej ze złóż na granicy Południa i Północy. W styczniu 2011 roku w niezależnym referendum na południu Sudanu 99% ludności opowiedziało się za odłączeniem południowej części Sudanu od państwa. 9 lipca 2011 roku południowa część Sudanu uzyskała niepodległość i własne państwo. Republika Południowego Sudanu proklamowała swą niepodległość i jej dewizą jest: Jedność, Równość, Postęp.

Republika Południowego Sudanu 14 lipca 2011 roku jako 193 członek, została przyjęta do Organizacji Narodów Zjednoczonych, a 28 lipca 2011 roku włączono ją także do Unii Afrykańskiej. Południowy Sudan liczy obecnie nieco ponad 8 milionów ludzi. W tę sytuację kulturową a także polityczną wpisują się jeziuci, którzy od 1983 roku towarzyszyli ludziom z plemienia Dinka w miejscowości Wau; od 2005

Do budowy wykorzystuje się dostępne i najprostsze materiały;
 fot. Tomasz Nogaj SJ



roku w Rumbek, a w ostatnich latach także w Jubie. Dwunastu jezuitów z różnych krajów wciąż pracuje w tych trzech miastach, posługując miejscowej ludności.

Kim są Dinka walczący o swą niepodległość?

Plemię Dinka to odłam Nilotów (mieszkający po obu stronach Nilu Białego) zamieszkujący południowy Sudan. Obecnie ich liczbę szacuje się na około 1,5 miliona ludzi. Są ludem półkoczowniczym. W czasie pory deszczowej osiadają w chatkach, które w miejscach nizinnych budują na palach, by zapobiec zalewaniu ich wodą. W porze suchej wszyscy z wyjątkiem ludzi starszych, chorych oraz karmiących młoków przemieszczają się do prowizorycznych, tymczasowych chat w pobliżu pastwisk. Żyją w patriarchalnych rodach, łączących się w wioski, w których władzę sprawuje starszyzna.

Ludzie Dinka-Agar zamieszkują miasto Rumbek i tereny położone na południowy wschód od niego. Ponad 20-tysięczne miasto to w zasadzie zbiorowisko kilku tysięcy domków-lepianek pokrytych trawą. Część tych domków wykonana jest z gliny uformowanej jak cegła i wysuszonej na słońcu. W Afryce plemię Dinka znane jest z wysokiego wzrostu. Średnia wysokość mężczyzn i kobiet to od 1,7-2 m.

Dinka zajmują się przede wszystkim wypasem i hodowlą bydła oraz rolnictwem. Pierwsze zajęcie jest typowo męskie, drugie zaś kobiece. Na polach uprawiane jest głównie proso oraz sorgo. Ważną rolę w życiu plemienia pełnią krowy. One utrzymują ludzi przy życiu, dając im mleko. Dinkowie nie zabijają krów i nie jedzą poza wyjątkowymi okazami (ślub, pogrzeb) ze względu na szacunek dla nich. Każda krowa,

Dzięki funkcji lokalnego lidera skutecznie przebiega organizacja wspólnej pracy; fot. Tomasz Nogaj SJ



byk i cielę ma swoje imię. Mimo, iż są ich setki, imiona zwierząt należących do danej rodziny i klanu znają nie tylko opiekujący się nimi pasterze, ale także dzieci z danego klanu. Życie Dinków jest związane z krowami do tego stopnia, że dziecko może być w nocy na dworze, a małe cielę musi być w chacie, by przeżyło trudne momenty. Nikt też krów nie sprzedaje, ponieważ stanowią one prestiż i bogactwo danej rodziny.

Swoistym „bankiem” dla rodziny jest przede wszystkim wysoka i piękna córka. Wzrost kobiety jest związany z jej wartością. Średnia cena za kobietę przy zamążpójściu to 60-100 krów. Im kobieta wyższa i piękniejsza, tym cena wyższa. Aby poślubić kobietę powyżej 190 cm

Woda stanowi ogromny skrób dla tutejszej ludności. Na zdjęciu akcja wykopywania studni głębinowej;
fot. Tomasz Nogaj SJ



wzrostu, mężczyzna musi zapłacić nawet do 300 krów. Wartość jednej krowy to 300 USD. To rada starszych ustala cenę za poszczególne kobiety. Ilość krów, jako należność za kobietę podczas zamążpójścia, jest zależna od starszyny klanu.

W Południowym Sudanie panuje animizm. Dinka wyznają wiarę w jednego boga zwanego Nhialic. Mała część Dinka uznaje chrześcijaństwo. Żyją w poligamii.

Zaangażowanie jezuitów to praca na wszelkich możliwych granicach, by przekraczać bariery. Po 50-letniej wojnie pierwszym wyzwaniem jest towarzyszenie ludziom w ich codziennym życiu. Dalej, zmiana mentalności i wszelakie propozycje edukacyjne. Póki co pasterze nie doceniają nauki, gdyż mają krowy... Jednak młodzież powoli dostrzega w edukacji szansę zdobycia wiedzy i nabycia umiejętności,



Tomasz Nogaj SJ
z mieszkańcami wioski
w Sudanie Południowym.

a przez to poznaje nowe wartości. Kościół i Towarzystwo Jezusowe może wiele dobrego wnieść w obecną sytuację ludzi w Południowym Sudanie. Zanim jednak szkoły zaczną tam funkcjonować na dobrym edukacyjnym poziomie, minie przynajmniej jedno pokolenie - to gorzka prawda, o której mówią sami Dinka. Dopiero następne pokolenie, a może nawet kolejne zaczną egzystować na wyższym - w naszym europejskim mniemaniu - cywilizacyjnym poziomie.

Do kogo posłani są jezuici z Prowincji Afryki Wschodniej?

Różnorodność pracy jezuitów w Prowincji Afryki Wschodniej wyraża się w wielu apostołatach:

- Duchowość.

Dwa domy rekolekcyjne w Kenii (Mwangaza Spirituality Centre) i w Etiopii (Galelee Centre).

- Edukacja.

Obecnie prowadzimy siedem szkół, a w planie jest założenie pięciu nowych w Etiopii, Kenii, Tanzanii, Sudanie Południowym i w Ugandzie,

wierząc że Towarzystwo Jezusowe przez swą posługę przyczyni się do kształcenia najuboższych i ludzi z marginesu społecznego, a tym samym do przekształcenia struktur, które źle bądź słabo służą człowiekowi.

- Zaangażowanie w sprawy socjalne. Social Justice and Communication wyraża się w prowadzeniu Centrum Komunikacji (Jesuit Hakimani Centre) w Nairobi oraz African Jesuit Aids Network, a także przez posługę dla uchodźców (Jesuit Refugee Service) oraz przez prowadzenie rozgłośni radiowej (Radio Kwizera).

- Praca pastoralna. To pięć parafii z wieloraką różnorodnością usług. Przede wszystkim to formacja i dynamiczne grupy w parafiach (Small Christian Communities).
- Nowe inicjatywy. Nowością jest otwarcie centrum kształcenia pod kątem ekologicznym i komputerowym w Rumbek w Południowym Sudanie oraz powstające Centrum Kształcenia Rolniczego (Agricultural Center) – także w Rumbek.

W Rumbek w Południowym Sudanie działa już od kilku lat centrum komputerowe, które kształci młodzież i dorosłych, by wesprzeć ich w poszukiwaniu pracy w mieście. Zdobywając umiejętności posługiwania się komputerem przez 6-tygodniowy kurs, uczestnicy programu mają szansę znaleźć pracę w pozarządowych organizacjach lub w powstających szkołach czy nowych firmach.

W styczniu 2012 rozpoczęto prace w buszu (w Kojal – 10 km poza osiedlami Rumbek), gdzie w przyszłości powstanie centrum szkoleniowe pod kątem uprawy ziemi. Na razie jest to ogrodzony teren i busz krzewy, drzewa i wysoka trawa, ale jest nadzieja, że jeśli nie to pokolenie, to może przynajmniej następne podejmie trud edukacji na poziomie szkoły średniej czy z czasem wyższej. W samym Rumbek są dwie szkoły średnie. W Kojal powstanie trzecia szkoła średnia w tym regionie. Miejscowi ludzie bardzo powoli przekonują się do tego pomysłu. Póki mają krowy i pastwiska, mają utrzymanie. Im więcej krów, tym lepiej, tym większy pestiż, i nie trzeba pracować... Lecz powoli następuje zmiana mentalnościowa - zaczynają doceniać to, że mogą się czegoś nowego nauczyć, od przybyszów.

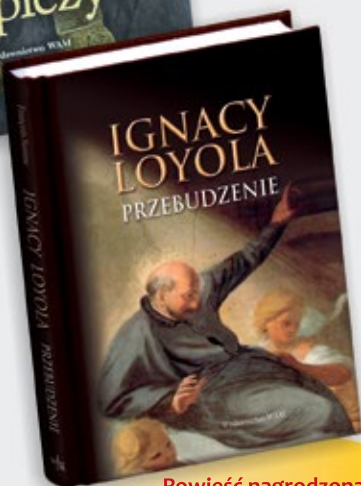
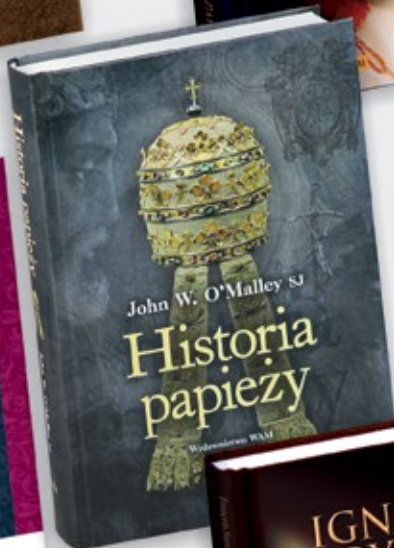
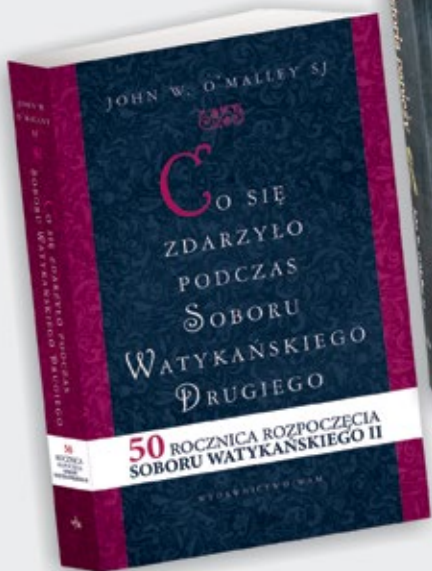
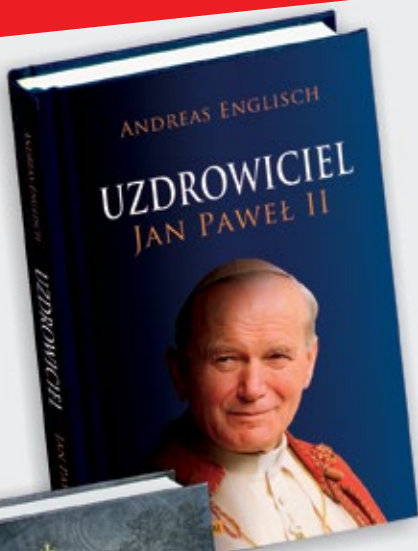
Warto pamiętać, że czas wojny domowej w Południowym Sudanie obejmowały to dwa pokolenia ludzi, które wychowały się na strzelaniu do siebie nawzajem, na rozbojach, kradzieżach bydła, jedzenia i broni. Nie są nauczeni pracy. Uważają że wszystko im się należy...

Jest jednak powód do radości z odzyskanej wolności i nowe wyzwania, które stoją tak przed ludźmi Dinka, rządem nowego państwa, który został demokratycznie wybrany, jak i przed Kościołem, który w czasie wojny nie wycofał się lecz wiernie wspierał ludzi w drodze do uzyskania wolności i niepodległości. Towarzystwo Jezusowe ma w tym względzie do zaferowania swe wielowiekowe doświadczenie, świetnie przygotowanych i odważnych misjonarzy. Czas podjąć misję. ■



**ROK
JUBILEUSZOWY**

**WYDAWNICTWO WAM
POLECA**



140 lat
WAM

wydawnictwowam.pl

Wydawnictwo WAM, Księgarnia Wysytkowa
ul. Kopernika 26, 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 260-261, 12 62 93 447, faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl
zamowienia@wydawnictwowam.pl
Przy zamówieniu od 50.00 zł wysyłka w Polsce GRATIS.

DEON.PL

**Powieść nagrodzona
Prix des Ecrivains croyants 2011
w kategorii literatura piękna**

Moje doświadczenie wolontariatu w Kirgistanie

Maria Kraus



Szukając na mapie Jalal-Abadu, miasta w którym znajduje się jedna z nielicznych kaplic rzymsko-katolickich w Kirgistanie, wylądowałam w Azji Środkowej, tuż obok Chin, a więc, jak wtedy uznałam, na zamierzczłym końcu świata. I nie skłamię, jeśli napiszę, że ten koniec świata stał się dla mnie na cztery miesiące jego centrum. Zbierając informacje o tym, jak mi się wówczas wydawało, orientalnym kraju, dowiedziałam się, że tak naprawdę jego suwerenność miała początek dopiero w 1991 roku, kiedy to po upadku ZSRR narodziły się nowe państwa, a Kirgistan stał się republiką.

Kirgizi mają niezwykle poczucie przynależności do swojego kraju i tradycji, którą w czasach socjalizmu starano się im odebrać. Próby powracania do korzeni i poszukiwania własnej tożsamości narodowej mogą, według mnie, w pewnym stopniu tłumaczyć niektóre przejawy ksenofobii czy dyskryminacji mniejszości narodowych. Jednym z ciekawych zwyczajów, który chciałabym przytoczyć, jest „ala kachuu”. Swój początek bierze on z czasów, kiedy Azję Środkową zamieszkiwały ludy koczownicze, a schronieniem od deszczu czy śniegu były jurty (namiot koczowniczy). Ala kachuu polegał na porwaniu dziewczyny, by potem móc ją poślubić. Dziewczynie osiągnącej odpowiedni wiek stawiano obok jurty rodziców osobny, mniejszy namiot. Oznaczało to, że panna jest już „na wydaniu”. Najczęściej w ten sposób szukano przyszłej żony. Tryb życia i jego warunki, nie pozwalały młodym



Zwyczajny uśmiech i chwila bliskości pozwala, aby zapomnieć o troskach dnia codziennego;
fot. Maria Kraus



Tak niewiele potrzeba, żeby podarować to, co najcenniejsze. Na zdjęciu Maria Kraus wraz z podopiecznymi; fot. ze zbiorów własnych

na to, by wcześniej się poznać i mieć czas na narzeczeństwo.

Do rodziców uprowadzonej przychodziła rodzina chłopaka, by powiadomić ich kto będzie przyszłym zięciem oraz by ustalić kwotę jaką zapłaci rodzina narzeczonego za pozyskanie przez syna małżonki. Choć obecnie młodzi odchodzą od tego zwyczaju, jest on nadal dopuszczalny. Siostra jednej z uczennic była w ten sposób uprowadzona. Została porwana sprzed domu przez chłopaka, którego widziała wcześniej raz w życiu. Rodzina przyszłego męża złożyła korzystną propozycję, więc kiedy rodzice już się zgodzili, dziewczyna nie mogła się sprzeciwić. Inna z naszych uczennic miała zaaranżowane małżeństwo

przez rodziców. Wyznała, że nawet nie lubi chłopaka, za którego będzie musiała w przyszłym roku wyjść za mąż. Niestety, takie sytuacje wciąż się zdarzają, a młodzi ludzie nadal są zależni od woli rodziców.

Nam, Europejczykom, łatwiej przychodzi krytykowanie pewnych negatywnych postaw czy zachowań i choć z pewnością zmiana mentalności wymaga czasu, to mieszkający tam ludzie są serdeczni i gościnni; tak jak wszędzie chcą godnie żyć, wykształcić dzieci, mieć coś własnego, co zapewni poczucie bezpieczeństwa i spokój rodziny. Niestety, znikomy odsetek ludzi stać na taki luksus. Zarobki są tam niewielkie, a ceny doganiają standardy europejskie. Jak dowiedziałam się od jednej z nauczycielek, jej miesięczny dochód nie przekracza 4 000 somów, przy czym 1 500 somów to w przybliżeniu 100 polskich złotych. Pragnienie poprawienia sytuacji finansowej popycha sporo młodych ludzi do wyjazdu z kraju w poszukiwaniu pracy. Choć wielu z nich marzy o Europie, jedynym miejscem w które mogą się udać, jest Rosja.

Czas, który tam spędziłam, był wypełniony byciem dla innych i nie chodzi tu o samo przebywanie z ludźmi, ale o wysiłek wkładany w przygotowanie moich zajęć. Miałam duże poczucie odpowiedzialności za to, co i w jaki sposób przekażę naszym dzieciom. Założeniem pracy wolontariuszki było włączenie się w działalność misyjną jezuitów. Zakres mojej pracy był na pozór niewielki, bo miałam prowadzić darmowe zajęcia z języka angielskiego dla dzieci oraz wspierać pracowników z Domu Inwalidy w prowadzeniu zajęć. Dużym wyzwaniem były dla mnie jednak lekcje angielskiego przede wszystkim ze względu na poczucie swoich ograniczeń w tej dziedzinie. Dzieci były podzielone na dwie grupy wiekowe, młodszą i starszą, a zajęcia odbywały się dwa razy w tygodniu. Niezwykłym doświadczeniem było dla mnie za-

angażowanie tych młodych ludzi w to, co im oferowałam. W Polsce nie spotkałam się z tym, by dzieci czerpały taką radość z możliwości dodatkowej nauki. Największy entuzjazm okazywały dzieci uzbeckie. Raz w tygodniu prowadziłam dla nich lekcje w miejscowości Osh, do której dojeżdżałam marszrutką (busem). Na moje lekcje uczęszczały dzieci z dzielnicy uzbeckiej, którą spalono w zeszłym roku w trakcie rewolucji. Nasze pierwsze spotkanie odbyło się właśnie pomiędzy nowo budowanymi domami a gruzowiskiem tego, co zostało im w brutalny sposób odebrane. Przyjęto nas bardzo ciepło. W prowizorycznej altanie, zbitej z desek, z odzysku podano wszystkim, czym dysponowali mieszkańcy. Obecnie znaczna część Uzbeków woli wynajmować mieszkania niż odbudowywać stracone domy. Wielu z nich boi się, że zdarzenia z zeszłego roku mogą się powtórzyć, a dyskryminacja może się nasilić. Trudności, z jakimi muszą się zmagać osoby narodowości uzbeckiej, były dla mnie nieprawdopodobne. Pochodzenie jest tam wyznacznikiem tego, czy i na jakim stanowisku dostanie się pracę, czy do jakiej szkoły będą uczęszczały dzieci. Pochodzenie wpływa również na płynność regulowania spraw administracyjnych czy urzędowych. Nasza znajoma lekarka, która jest Uzbekką, pomimo swojego wykształcenia i doświadczenia pracuje jako położna oraz pielęgniarka w domach prywatnych, gdyż nie może dostać pracy w żadnym szpitalu. Obecnie ludziom tym towarzyszy ciągła niepewność o dzień jutrzejszy. Nie chodzi o względy finansowe, ale o niepewność bezpieczeństwa własnego i rodziny.

Młodzieży najbardziej przypadła do gustu zabawa z chustą klanza;
fot. Maria Kraus



Drugim miejscem, w którym pracowałam, był Dom Inwalidy. Miejsce szczególne i chyba najsmutniejsze z możliwych w tym kraju. W ośrodku mieszkają dzieci do 18 roku życia o różnym stopniu niepełnosprawności. Po osiągnięciu tego wieku są przenoszone do Internatu Neurologicznego w Kizylkiji, w którym również miałam okazję być ze względu na systematyczne wsparcie udzielane osobom tam mieszkającym. Comiesięczna wizyta jest swego rodzaju rozrywką dla mieszkańców tego miejsca oraz możliwością otrzymania drobniaków takich jak mydło, zeszyt czy długopis. Dzieci z ośrodka w Jalal-Abadzie odwiedzałam początkowo raz w tygodniu, potem zdecydowaliśmy się na przesunięcie godzin zajęć języka angielskiego, by móc częściej spotykać się z dziećmi. W ośrodku były cztery grupy dzieci: leżąca, pełzająca, chodząca i agresywna. Ja miałam pozwolenie od dyrektorki na pracę z trzema pierwszymi. Na oddziale dla leżących znajdują się dzieci, które nie mogą się przemieszczać. Większość z nich cierpi na niedowagę, przykurcze, zanik mięśni. Ze względu na brak jakiegokolwiek przygotowania pracowników, dzieci pozbawione są terapii czy rehabilitacji. Nadmiar obowiązków i niedostateczna ilość pracujących tam osób nie pozwala na to by każde dziecko było traktowane indywidualnie. Dlatego czas, który razem spędzaliśmy, poświęcałam na okazywanie im ciepła i uwagi. Starłam się, by każde dziecko mogło odczuć to, że przez chwilę jestem tylko dla niego. Dzieciom, które były sprawne manualnie, podawałam zabawki, inne przyzwyczajałam do gestu, jakim jest głaskanie. Z czasem zaczęły reagować na mój głos, śmiały się, gdy je łaskotałam, lubiły słuchać muzyki puszczonej im z radiowęzła, który zorganizowali ojcowie jezuici. Najtrudniej było mi patrzeć na warunki, w jakich leżały dzieci. Kiedy było ciepło, zadrdzały je muchy, których nie potrafiły odgonić. Gdy nadeszła zima, dzieci miały zmarzniete ręce i nogi. Oddział dla pełzających był również trudnym miejscem. W ciągu dnia dzieci były zamykane w jednym pokoju, z okratowanym oknem i materacami na podłodze. Pod jedną ze ścian stały dwa nocniki dla dzieci, które umiały z nich korzystać. Czasami pojawiały się tam zabawki, niestety nikt nie miał czasu na to, by pokazać, jak się nimi bawić. Dzieci pozostawione same sobie, spędzają tak dzień za dniem, dlatego nasze odwiedziny były czymś szczególnym i bardzo potrzebnym. Radość sprawiały im zwykłe kartki papieru oraz przynoszone kredki, wielką frajdą były piłki, którymi zawsze byłam bombardowana. Po pewnym czasie dzieci miały swoje ulubione piosenki i denerwowały się, gdy próbowałam śpiewać coś innego. Ostatni oddział, który odwiedzałam, był przeznaczony dla dzieci chodzących. Dzielił się na grupę chłopców i dziewczynek. Na tym oddziale dzieci witały nas w typowy sposób, wieszając się na szyi, jedno przez drugie chciało się przytulić. Tutaj największą atrakcją

były zabawy ruchowe, które pozwalały spożytkować nadmiar energii. Z entuzjazmem przyjmowane były również wszystkie zajęcia plastyczne. Bardzo zżyłam się z tymi dziećmi i to miejsce opuszczałam z największym żalem.

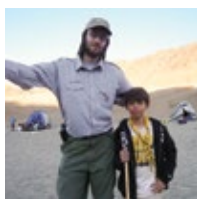
Czas, który tam spędziłam, był czasem niezwykłym, bogatym w różnego rodzaju doświadczenia. Kiedy sięgam pamięcią wstecz, z trudem przypominam sobie powód, dla którego wybrałam akurat Kirgistan. Myślę, że elementem, który przeważał były góry, stanowiące zawsze ważną część mojego życia. W Kirgistanie zajmują one około 90% powierzchni kraju i są dodatkowym atutem tego miejsca. Po pięciu latach studiów szukałam czegoś, co podsumuje ten czas i nie będzie zwyczajnym znalezieniem pracy. Wolontariat okazał się być tym, czego potrzebowałam i co pozwoliło mi dookreślić się w tym, kim jestem i czego poszukuję w życiu. Zyskałam wiele, mam nadzieję, że równie dużo dałam z siebie. Do wyjazdu w ramach wolontariatu zachęcałabym wszystkich, którzy są w stanie trochę zaryzykować i odłożyć w czasie swoje plany na rzecz innych. Dzięki takiej formie jest się w stanie odkryć niesamowite rzeczy w sobie oraz napotkanych osobach, okazuje się, że taka pomoc nie jest wcale altruizmem, bo docelowo pomaga się sobie. Mam nadzieję, że ten wyjazd nie będzie jedynie epizodem, który będę wspominać po latach, ale punktem odniesienia, który będzie mnie mobilizował do tego, by dawać z siebie więcej. ■

Tradycyjne mieszkania Kirgizów, tzw. jurty; fot. Maria Kraus



Przygoda z edukacją w Chile

Zbigniew Szulczyk SJ



Już od pierwszych chwil mojego pobytu w Chile (październik 2009 roku) spotkałem się z różnorodnością i wielobarwnością, objawiającą się zarówno na poziomie kulturowym, jak i w latynoamerykańskiej mentalności. Pierwszą przeszkodą, jaką należało pokonać, stała się oczywiście, bariera językowa. Krótki kurs hiszpańskiego przed wyjazdem nie był w stanie zapewnić odpowiednich umiejętności lingwistycznych, jednak duża dawka dystansu do swej własnej nieporadności komunikacyjnej i obowiązkowe w takich sytuacjach poczucie humoru zdołały wypełnić braki i umożliwiły pierwsze kontakty z chilijską wspólnotą jezuitów.

Oprócz początkowych trudów, były też i początkowe, nie ukrywam że bardzo miłe, niespodzianki. Chilijczycy są bardzo otwarci i sympatyczni, a przejawia się to już od pierwszych chwil spotkania. Opuszczając krakowskie klasztorne mury, nigdy nie przypuszczałem, że trafię wprost w ramiona pięknych latynoamerykańskich kobiet. Dla wyjaśnienia... kobiety witają się tu z mężczyznami poprzez pocałunek, wprawdzie w policzek, ale też przyjemnie. Niestety, dopiero po jakimś czasie jeden z tutejszych jezuitów usiadł mi, że powód wszechobecnego obcałowywania mnie przez pleć piękną, niekoniecznie związany jest z moim wyglądem.

Obozy skautowskie cieszą się dużą popularnością wśród młodzieży chilijskiej;
fot. Zbigniew Szulczyk SJ





Ewangelię można głosić na różne sposoby i nie tylko w kościele. Na zdjęciu Zbigniew Szulczyk SJ

Kolejną kulturową różnicą, tym razem mniej przyjemną, jest podział klasowy wyraźnie widoczny w niemal wszystkich miastach Chile. Można wyróżnić tam sektory zarówno bogatych, jak i biednych, a różnice między poziomem życia jednych i drugich są kolosalne. Dobrze sytuowani mieszkańcy posiadają rezydencje i wille, a najubożsi zmuszeni są często do życia w drewnianych chatkach z jednym pokojem o wymiarach 3x4m, który pomieścić musi 4-6, a czasem nawet i więcej osób. Te różnice dostrzegalne są również w praktycznie każdym sektorze społecznym. Brak funduszy skutkuje m.in. daleką od ideału opieką medyczną oraz mizerną jakością pozostałych usług.

Chilijski system edukacyjny zmuszony jest poniekąd odzwierciedlać taki podział społeczeństwa. Prywatne szkoły (z wysokim czesnym) zapewniają dobre i solidne wykształcenie, jednak dostępne są jedynie dla niewielkiej grupy społecznej. W przeliczeniu na nasze warunki; miesięczny koszt nauki w jednej z takich szkół to ok. 1 200 – 1 600 zł za jedno dziecko. Biedota skazana jest na szkoły państwowe, których poziom pozostawia wiele do życzenia. Alternatywą stają się szkoły prywatne posiadające dotację państwową, których warunki edukacyjne są już nieco lepsze, a czesne o wiele niższe niż w pierwszym przypadku.

Ciekawa jest również struktura samego systemu edukacyjnego. Szkoły starają się zapewnić kompleksowe wychowanie, między 4 a mniej więcej 18 rokiem życia. Cały ten proces odbywa się w jednej placówce. Owocuje to bardzo dużym przywiązaniem uczniów do szkoły, do kadry nauczycielskiej, personelu administracyjnego i pozostałych pracowników, którzy niejednokrotnie pamiętają późniejszych absolwentów jako niesfornych i psotliwych przedszkolaków. Wszystko to składa się na specyficzny, bardzo rodzinny i ciepły klimat tych szkół.



fot. Zbigniew Szulczyk SJ

Nieoceniony wkład w chilijską edukację wnosi także Towarzystwo Jezusowe. Absolwenci szkół prowadzonych przez jezuitów często zajmują ważne stanowiska społeczne i pełnią odpowiedzialne funkcje, co przyczynia się do korzystnej i budującej opinii na temat proponowanej przez jezuitów formacji. W Chile można wyróżnić dwa typy szkół związanych z Towarzystwem: jezuickie oraz ignacjańskie. Szkoły jezuickie są własnością zakonu i zarządzają nimi jezuici. Szkoły ignacjańskie są natomiast placówkami niezależnymi, które pragną jednak korzystać z bogatego doświadczenia jezuitów oraz wychowywać i kształcić młodzież zgodnie z ignacjańskim modelem pedagogicznym, opartym w głównej mierze o duchowość św. Ignacego z Loyoli. Ponadto istnieje sieć szkół nazwanych *Fe y alegría* (wiara i radość), które usytuowane są w najbiedniejszych regionach miast. Również i one proponują swoim uczniom formację ignacjańską. Wszystkie te placówki tworzą razem sieć 24 szkół, które wprowadzają w ostatnich latach bardzo intensywny program pedagogiczny, gdzie kluczem jest formacja integralna.

W przypadku wychowania młodzieży na pierwszy plan wychodzi potrzeba połączenia i zjednoczenia wszystkich sfer życia, zarówno emocjonalnych, jak i tych związanych ściśle z procesem edukacyjnym. Dla przykładu; możemy mieć ucznia, który osiąga bardzo dobre wyniki w naukach ścisłych i humanistycznych. Poziom jego inteligencji znacznie wybiega się ponad przeciętną. Nie zna on jednak swoich mocnych i słabych stron. Jego zachowanie wskazuje na egoistyczną postawę. Nie przejawia zainteresowania innymi oraz nie jest gotowy, by im pomagać. Marginalizuje życie duchowe, też jest wysoce krytyczny wobec wszystkiego. Jego zachowanie wyraźnie wskazuje na niedojrzałość emocjonalną. Taki uczeń jest najlepszym przykładem wychowania zdeintegrowanego, w którym nacisk kładzie się wyłącznie na wyniki w nauce, pomijając zupełnie rozwój osobisty.

Przykładem osoby zintegrowanej, która jest dojrzała w sferze afektywno-społecznej, intelektualnej i duchowej, jest uczeń, który nie tylko osiąga dobre wyniki w nauce, ale zna też dobrze siebie, swoje wady i zalety, słabe i mocne strony, potrafi zidentyfikować i nazwać to, co się w nim dzieje, oraz wskazać na przyczyny rodzących się w nim emocji i uczuć. Interesuje się tym, co dzieje się wokół niego, nieobce są mu problemy społeczeństwa, przejawia także inicjatywę do niesienia pomocy potrzebującym. Jest wrażliwy religijnie, potrafi odkryć obecność Boga w swoim życiu, pogłębia swoją relację z Nim i chce odnaleźć swoje powołanie. Są to trzy linie rozwoju, według których Towarzystwo Jezusowe pragnie formować młodych, dojrzałych i odpowiedzialnych ludzi.

Plan formacji, który proponują nasze szkoły, wygląda naprawdę imponująco. Każdy wychowawca zobowiązany jest towarzyszyć indywidualnie każdemu uczniowi i w ciągu semestru musi przeprowadzić przynajmniej jedną rozmowę z każdym dzieckiem, a następnie z jego rodzicami. Oczywiście, czasem potrzeba przeprowadzić więcej niż tylko jedną rozmowę na semestr. W ciągu roku uczniowie mają cykle zajęć z psychologami i kapelanami. Poruszane są na nich zagadnienia z zakresu psychologii, tematy społeczne i duchowe. Od przedszkola aż do ostatniej klasy szkoły średniej przeznaczony jest jeden dzień na tzw. Spotkanie z Chrystusem, które formuje uczniów emocjonalnie i duchowo, a treści dostosowane są adekwatnie do wieku uczniów. W każdej szkole istnieje możliwość uczestnictwa w drużynie harcerskiej (tam gdzie pracuję grupa liczy około 150 skautów), w Ruchu Eucharystycznym czy we Wspólnocie Życia Chrześcijańskiego w szkole średniej. Każdy semestr nauki związany jest również z podjęciem tzw. misji społecznej, kiedy to każda klasa szuka jakiejś placówki w biednym sektorze miasta, oferując tam swoją pomoc (mogą być to zabawy dla dzieci z przedszkoli, odwiedziny w domach starców czy nawet pomoc w pracach remontowych). Starsi uczniowie mają możliwość uczestniczenia w ruchu Techo para Chile („Dach dla Chile”), w ramach którego konstruują drewniane domy dla ubogich. Każdego lata organizuje się różnego typu obozy, na przykład „obóz pracy” podczas którego starsi uczniowie jadą na dwa tygodnie do jakiegoś biednego sektora miasta, czy do ubogiej wsi, aby pomagać miejscowej ludności; pracują wraz z mieszkańcami, a dzięki temu poznają rzeczywistość życia na skraju nędzy, która nierzadko jest im obca). Uczniowie mają możliwość uczestniczenia w rekolekcjach ignacjańskich, które cieszą się dużą popularnością, oraz w różnych akademiach, które oferowanym im przez szkołę: akademii piłki nożnej, siatkówki, koszykówki, judo, badmintonu, ping-ponga, szachowej, orkiestrowej itp. Poza tym

w ciągu roku organizuje się wiele spotkań dla całej szkoły m.in. obiady dla wszystkich rodzin ze szkoły, defilady, spotkania absolwentów itp. Program na cały rok jest więc bardzo obszerny i bogaty.

Już u początków mojej pracy kapelana dla klas 5–8 w męskiej szkole w Antofagście rzuciło mi się w oczy ogromne przywiązanie chłopaków do tego miejsca. To, jak ważna jest dla nich szkoła, zaobserwować mogłem już na przykładzie przedszkolaków, którzy po kilku tygodniach pobytu tutaj potrafią z dumą wyśpiewać szkolny hymn. Śpiewają go z ręką na sercu i z nie mniejszą powagą przedstawiają się jako Sanluisiano (szkoła nosi nazwę San Luis). Uczniowie często są synami lub nawet wnukami absolwentów tej placówki edukacyjnej. Są dumni z tradycji szkoły, która ma już niemal 100 lat, jak i z tych, którzy ją ukończyli, zostając potem burmistrzami, gubernatorami czy sławnymi poetami.

W Chile dominuje
górzyste ukształtowanie
terenu; fot. sxc.hu



Głęboka tradycja, specyficzny, przemysłany model działania, wieloletnie doświadczenie w wychowywaniu oraz szeroka gama zajęć, obozów, akademii i ruchów, w których mogą uczestniczyć uczniowie – wszystko to daje ogromne możliwości pedagogiczne. Wychowywanie w harmonijnym, zgodnym z ewangelicznymi wartościami stylu, nie jest jednak łatwe w świecie, który niejednokrotnie obiera inny kierunek. Pracując tutaj, miałem okazję towarzyszyć młodym ludziom w ich osobistym rozwoju, w głębszym poznawaniu siebie i innych, w ich otwieraniu się na Boga. Muszę przyznać, że ta piękna misja to także spore wyzwanie. Młodzi ludzie zmieniają się nieustannie, tak jak zmienia się dzisiejszy świat. Bardzo cieszy i pokrzepia, gdy któryś z uczniów pokonuje swoje trudności, gdy otwiera się na świat i na innych, gdy dostrzec można jego osobisty rozwój. Smutno gdy się obserwuje, jak niektórzy nie chcą skorzystać z możliwości, jakie oferuje i proponuje im szkoła.

W sektorze edukacji w Chile jezuici zrobili bardzo dużo w ciągu ostatnich 100 lat, a ich zaangażowanie na tym gruncie jest nieocenione. Mimo tak bogatego doświadczenia wychowanie nie przestaje być dużym wyzwaniem, a pytanie: jak wychowywać młodych w duchu ewangelicznym? ciągle pozostaje otwarte. ■

O pracy na Tajwanie w kilku słowach...

Kamil Boberek SJ



Zawsze, kiedy zaczynam pisać artykuł na temat pobytu na Tajwanie, zastanawiam się, od czego by tu zacząć. Na pewno nie chcę opisywać wszystkiego od samego początku (sierpień 2009), ponieważ musiałbym powtórzyć to, co już opisałem w innych artykułach. Wydaje się, że jeżeli napiszę o miesięcznej pracy wśród tubylczej ludności Tajwanu oraz o tajwańskiej szkole, w której zdarzyło mi się pracować od września 2011 roku, to ten artykuł będzie zdecydowanie ciekawszy chociaż nie mnie to oceniać. Zatem do dzieła.

Było to jakoś w połowie marca 2011 roku, kiedy superior wspólnoty w której mieszkałem, zadzwonił do mnie z pytaniem, czy mam czas omówić z nim pewną kwestię. Dość spontanicznie odpowiedziałem, że tak, myśląc jednocześnie, o co może chodzić. Przed oczami miałem kilka spraw, które ewidentnie zawałiłem. Czyżby o to chodziło? Po tym krótkim – trwało to raptem kilkanaście sekund – rachunku sumienia ruszyłem do biura superiora.

Po wejściu zobaczyłem jego twarz, która zdecydowanie wyglądała na rozbawioną. Kazał mi usiąść, a ja z ulgą usiadłem i zacząłem coś mówić. Następnie superior zapytał mnie, czy słyszałem o miesięcznym górskim obozie, którego celem jest pomoc dzieciom i nauczanie. Przyznam szczerze, że zupełnie nie miałem pojęcia o czym mówi, choć doskonale rozumiałem „jego chiński”. Zatem odparłem, że nie, ale



fot. C.M. Keiner; Flickr.jpg



Taipei nocą;
fot. FishtailTaipei-flickr.jpg.

byłem zainteresowany, bo jako półgórał niewypowiedzianie kocham góry i wszystko, co ma „górkę” w nazwie. Wtedy przełożony pokazał mi kilka broszur i powiedział, że od 40 lat jezuici organizują obóz dla świeckich studentów z różnych uniwersytetów, który zasadniczo polega na bezinteresownej pracy wśród tubylczej ludności Tajwanu. Dodał też, że już prawie 38 lat nie było żadnego jezuity, który w pełnym wymiarze zaangażował się w to przedsięwzięcie. Nie musiał ciągnąć dalej, bo świetnie rozumiałem, o co mu chodzi. Bez cienia wątpliwości wyraziłem swoją chęć udziału, co wyraźnie mu się spodobało.

I teraz zaczęły się „schody”, bo zostałem zobligowany do uczestnictwa w prawie czteromiesięcznym kursie przygotowawczym. Zasadniczo problem był taki, że ciągle byłem na etapie studiowania chińskiego. Już na pierwszym spotkaniu miałem poważne problemy z odpowiadaniem na pytania (nawet gdy udało mi się zrozumieć, o co chodziło w pytaniu). No cóż, musiałem w końcu wyjść z brodzika i odważnie zacząć pływać w morzu. „Wypłyni na głębiej” tak, mogę powiedzieć, że teraz wiem, o co chodzi.

I tak, po okresie przygotowania, w połowie lipca rozpoczęła się moja miesięczna góraska przygoda – a mówiąc bardziej konkretnie – zaczęło się od pięciogodzinnej wędrówki górkim szlakiem do miejsca przeznaczenia, małej wioski Tian Pu. Pamiętam, że pogoda była niewyobrażalnie upalna, co wraz z wysokim stopniem wilgotności powietrza powodowało, że każdy z uczestników był jak taka chodząca czekolada, która rozpląwa się z minuty na minutę. Jednak mimo tej małej niedogodności wszyscy (niektórzy z mniejszymi, niektórzy z większymi trudnościami) dotarliśmy do punktu docelowego.

A potem „umarliśmy”, aby następnego dnia nad ranem powrócić do życia. Tak minęło popołudnie i wieczór dnia pierwszego, a pozostało jeszcze 30 do końca.

Następnego dnia obudziliśmy się ok. 5 rano, zjedliśmy porządne śniadanie, a potem pożegnaliśmy tych, którzy mieli udać się do innych wiosek. Ja i pozostali czterech studentów pomału zaczęliśmy planować najbliższy tydzień pracy i budowania relacji z miejscową ludnością. Już pierwszego dnia zostaliśmy poinformowani, że będziemy potrzebni przy zrywaniu brzoskwiń i pomidorów oraz do opieki nad dziećmi w czasie, gdy rodzice pracują. Podzieliliśmy się zatem na dwie grupy: jedna do pracy przy brzoskwiach, druga do pracy przy dzieciach.

Już 2-3 miesiące wcześniej przygotowaliśmy całościowy plan pracy z dziećmi, biorąc nawet pod uwagę różnice wieku i płci. Byliśmy z siebie naprawdę dumni i pewni, że nic nie zdoła zachwiać tak doskonałego planu. Niestety tuż po pierwszej batalii z dziećmi, które nawet nanosekundy nie mogły usiedzieć w jednym miejscu, byliśmy zmuszeni do całościowej rewizji wstępnych założeń – chociaż prawdę mówiąc, nie tylko wstępnych, ale też i zasadniczego celu pobytu tam. Okazało się bowiem, że mamy być dla tych ludzi przyjaciółmi i razem z nimi przeżywać radości i smutki. Oni nie oczekiwali od nas pracy na ich rzecz, oczekiwali bardziej bycia z nimi.

Zatem, zgodnie z oczekiwaniami ludności miejscowej, zdecydowaliśmy, że codziennie wieczorami będziemy odwiedzać poszczególne rodziny i nawiązywać pierwsze nieśmiałe relacje. Niespodziewanie okazało się, że zdecydowana w większość już od pierwszego wejrzenia nam zaufała i powierzyła dzieci do opieki. Kiedy zaproponowaliśmy, że możemy również pomóc przy pracach rolnych ich radość wzrosła do stanu niemal ekstatycznego. Miło było widzieć taki ludzki i szczery objaw radości.



fot. waikitchung77; flickr.jpg



fot. bern1616; flickr.jpg

Oczywiście, spore zainteresowanie zostało skierowane w moim kierunku, bo wielu z miejscowych nigdy na żywo nie widziało białego człowieka. A ja nie tylko, że jestem biały, to jeszcze jako tako mówię po chińsku. Szczególnie malutkie dzieci były we mnie wpatrzone jak w obrazek i w tej swojej niewinnej nieśmiałości próbowały ze mną nawiązać kontakt wzrokowy. Na ich zainteresowanie odpowiadałem głównie szczerym uśmiechem, aby po kolejnych 2-3 dniach nawiązać kontakt werbalny. Wbrew moim obawom przełamywanie pierwszych lodów przebiegło bardzo sprawnie. Rodzice i dzieci byli w stanie zobaczyć we mnie kogoś, kto ma szczerą pragnienie pracy na ich rzecz i pomocy. I tylko tyle było mi potrzeba.

Wszyscy z mojej grupy wiedzieli, że jestem jezuitą, choć zupełnie nie wiedzieli, co to znaczy. Ja sam z siebie też niewiele nawiązywałem do tego tematu. Przede wszystkim nie chciałem, aby czuli się, jakby byli na obozie rekrutacyjnym do Kościoła katolickiego. Pozostałem w 100% sobą, a oni obserwowali tę moją „inność” i po jakimś czasie sami zaczęli pytać. Im większą wolność i swobodę im pozostawiałem, tym bardziej czuli się „swojo” w relacji ze mną, a ja w relacji z nimi. W pewnym momencie nawet mi powiedzieli, że kiedy usłyszeli, że jestem misjonarzem, to obawiali się, że będę jak ci, co biegają z Pismem Świętym w rękę, mówiąc: „Jezus cię kocha” (taki sposób dzielenia się wiarą jest domeną wielu wspólnot protestanckich na Tajwanie i z tego, co zdążyłem się zorientować, jest raczej negatywnie odbierane). Po raz kolejny okazało się, że ludzi w pierwszym odruchu przyciąga to, kim jesteś i jaki masz stosunek do innych, niż to, co mówisz.

Nasz miesięczny pobyt polegał właściwie na codziennym wykonywaniu tych samych czynności. Wstawaliśmy ok. 5 rano, a następnie dwie osoby szły pomóc w pracach rolnych, zaś trzy pozostałe przygotowywały śniadanie dla dzieci i jakieś proste gry na rozpoczęcie dnia. W południe razem przygotowywaliśmy obiad (także dla dzieci), a potem mieliśmy krótką chwilę na odpoczynek. Po południu zazwyczaj wychodziliśmy na krótki spacer po wiosce. Po kolacji, którą również przygotowywaliśmy wspólnie, mieliśmy umówione spotkanie z jedną rodziną, które gościły nas nadzwyczaj hojnie. Była to dla nas wszystkich dobra sposobność do lepszego zrozumienia mentalności i kultury ludzi gór, którzy zasadniczo są uważani za odrębną grupę etniczną. Poza własną kulturą mają również swój własny język, religię i zwyczaje, co bardzo ich wyróżnia spośród innych mieszkańców Tajwanu. Aktualnie, głównie ze względu na dość aktywną pracę misjonarzy (katolickich i protestanckich) w tym regionie, większość z nich to chrześcijanie. W wiosce, w której przebywałem, większość mieszkańców należała do prezbiteriańskiego odłamu protestantyzmu, tak że dla mnie jako katolika był to niezwykle ekumeniczny czas.



To by było tyle na temat gór. Teraz przejdźmy do drugiej części mojej opowieści.

Po powrocie do domu nie miałem zbyt dużo czasu na odpoczynek. Od razu musiałem sprawnie i szybko przepakować rzeczy i udać się do jezuickiego domu rekolekcyjnego (w centrum Tajwanu), aby zapisać swoje ośmiodniowe rekolekcje. Oczywiście, nie będę się tutaj rozpisywał o przebiegu mojej modlitwy czy łaskach, które otrzymałem; mogę tak ogólnie powiedzieć, że całość była skupiona wokół apostołstwa i realizowania misji Towarzystwa (co jest w sumie równoznaczne z misją Jezusa) lub mówiąc bardziej skrótowo: był to okres przygotowawczy do podjęcia pracy w szkole technicznej pod wezwaniem św. Alojzego Gonzagi.

Pamiętam, że w dniu, w którym rozpocząłem swoją przeprowadzkę, była naprawdę piękna pogoda. Około 8 rano scholastyk z Korei pomógł mi przenieść rzeczy i zawiózł mnie do miejscowości ZhuDong, gdzie miałem zapoznać się ze swoją nową wspólnotą. Nie było to jednak miejsce docelowe, ale bardziej tranzytowe, tak żebym mógł zaaklimatyzować się w nowych warunkach klimatycznych. Dopiero trzy dni później pojechałem do małej miejscowości w górach (XinPu), gdzie znajduje się szkoła prowadzona przez jezuitów. Jest to placówka nietypowa pod bardzo wieloma względami. Po pierwsze, jest to szkoła techniczna z bardzo szerokim zakresem kształcenia: od zagadnień związanych z budową maszyn do zagadnień informatycznych i podstaw programowania. Po drugie, została ona wybudowana w miejscu, gdzie standard życia jest niski, a poziom kształcenia zdecydowanie odbiega od tego znanego z wielkomiejskich metropolii. Po trzecie, jest to szkoła ufundowana i nadal prowadzona przez jezuitów, choć większość ważnych stanowisk jest zajmowana przez ludzi świeckich, z czego gros nie należy do Kościoła katolickiego.

W szkole zajmują się przede wszystkim budowaniem relacji ze studentami, organizowaniem aktywności dla nich oraz, w miarę możliwości, prowadzeniem lekcji z zakresu etyki. Jako obcokrajowiec nie mam wymaganych uprawnień ministerstwa edukacji, więc moje lekcje to zazwyczaj taki trening motywacyjny, połączony z dzieleniem na temat tego kim jestem, co robię i dlaczego. Najtrudniej im zrozumieć odpowiedź na to ostatnie pytanie, ale biorąc pod uwagę, że 99% uczniów to niechrześcijanie, nie należy się dziwić. Poza tym w każdy piątek popołudniu prowadzę też swoją grupę tematyczną, która nazywa się „eksploracja życia” (po chińsku brzmi to zdecydowanie lepiej), której głównym celem jest przygotowanie imprez ogólnoszkolnych oraz – trochę mniej oficjalnie – małe rockowe jamowanie (mam nadzieję, że Czytelnik będzie w stanie zrozumieć, o co chodzi w tym enigmatycznym sformułowaniu). ■

Ze względu na ograniczone ramy tego artykułu nie mogę napisać więcej. Wszyscy zainteresowani większą ilością informacji mogą się ze mną kontaktować mailowo: kboberek@gmail.com - zapewniam, że żaden list nie pozostanie bez odpowiedzi, oraz przeczytać o mojej pracy na blogu: <http://effatha.eu>.

Poślaniec Serca Jezusowego



najstarszy miesięcznik katolicki w Polsce

W każdym numerze m.in.

- ♣ kult Serca Jezusa
- ♣ intencje papieskie
- ♣ sylwetki świętych
- ♣ komentarz liturgiczny
- ♣ porady duszpasterskie
- ♣ Biblia i lektura duchowa
- ♣ informacje z życia Kościoła i Apostolstwa Modlitwy
- ♣ świadectwa
- ♣ porady dla rodziców



Zaprenumeruj Poślanca Serca Jezusowego

Cena 1 egz. w sprzedaży wynosi 5.00 zł,
w prenumeracie 4.50 zł.

Koszt prenumeraty indywidualnej 1 egz.:
na kwartał – 13,50 zł; na pół roku – 27,00 zł;
na rok – 54,00 zł

tel. 12 62 93 291
prenumerata@poslaniec.co

www.poslaniec.co



Zachęć swoich bliskich i przyjaciół do prenumeraty PSJ

140 lat
w/wm
Redakcja PSJ:
ul. Kopernika 26, 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 291, fax 12 42 95 003
redakcja@poslaniec.co

**PSJ do nabycia w wersji elektronicznej
na stronie ebook.wydawnictwowam.pl
Cena Poślanca w formie elektronicznej (plik PDF) wynosi 2.50 zł.**

Wśród swoich na krańcu świata

Wiesław Słowik SJ

HISTORIA DUSZPASTERSTWA POLONIJNEGO W AUSTRALII

Pierwsze zorganizowane grupy polskich osiedleńców pojawiły się w Australii w połowie dziewiętnastego wieku. Pozostał po nich pomnik, skromny kościółek pod wezwaniem św. Stanisława Kostki w „Polish Hill River”, niedaleko Sevenhill w Południowej Australii. Wzniesli go Polacy przybyli z Ziemi Lubuskiej, z zaboru pruskiego. Dzięki ich staraniom w marcu 1870 roku przybył z Krakowa do Sevenhill ksiądz Leon Rogalski, jezuita i już 30 listopada 1871 roku uroczyste poświęcano wspomniany kościółek i przyległą doń szkołę. Miejsca te stały się centrum życia religijnego, społecznego i kulturalnego dla osiedlających się w okolicy Polaków.

Masowa polska emigracja do Australii rozpoczęła się na przełomie lat 40. i 50. ubiegłego stulecia, a więc po II wojnie światowej. Przesunięte granice RP, utrata niepodległości, chęć ucieczki od wojennych przeżyć, a także niemożność bezpiecznego powrotu do kraju to zasadnicze powody tej fali emigracji. Przyjmuje się powszechnie, że w latach powojennych osiedliło się w Australii blisko 100 tysięcy Polaków, z którymi przybyli polscy księża, w tym także jezuita: o. Stanisław Skudrzyk w 1950 i o. Józef Janus w 1951 roku – pionierzy polskiego duszpasterstwa w powojennej Australii. Duchową opiekę nad swymi rodakami rozpoczęli już w przejściowych obozach, do których kierowano uchodźców, a potem, w zależności od miejsc osiedlania się Polaków, inicjowali odprawianie dla nich Mszy świętych w lokalnych, australijskich kościołach parafialnych. Mieszkając często w niełatwych warunkach, utrzymywani ze skromnych składek rodaków, przemierzali setki kilometrów, by śpieszyć z duchową posługą i sakramentami wszędzie tam, gdzie byli Polacy.

Kościół australijski, choć jeszcze wówczas „misyjny”, był już doskonale zorganizowany. Od lat walczył o swoje prawa z dominującym wyznaniem anglikańskim, budował i utrzymywał swoje szkoły, szpitale, przedszkola, wyższe uczelnie, przytułki i przeróżne agendy rozbudowanej pomocy społecznej. Miał silne irlandzkie tradycje, a jego „etosem” stała się szkoła katolicka, stojąca na bardzo wysokim poziomie i obejmująca niemal jedną trzecią całego szkolnictwa australijskiego.





Gwałtowny napływ emigrantów po II wojnie światowej, a wśród nich dużej ilości katolików, wywodzących się z odmiennych od irlandzkiej tradycji i mających inne oczekiwania, był dla Kościoła australijskiego nie lada wyzwaniem. Niełatwo było mu się zgodzić na obce obyczaje, tradycje, nabożeństwa i formy kultu, stąd poczuł się zagrożony w swej odrębności. Polscy pionierzy musieli więc łączyć lody nieufności i torować drogę dla polskich form katolicyzmu w Australii. Byli nie tylko kapłanami, ale i opiekunami społecznymi, tłumaczami, organizatorami życia społecznego i kulturalnego, redaktorami, wydawcami i wychowawcami. Dzieliąc codzienność ze swymi rodakami, współtworzyli zręby zorganizowanej Polonii australijskiej. Status duszpasterzy emigracyjnych przyznano im jednak dopiero po wielu trudnych latach.

Postsolidarnościowa fala polskiej emigracji w latach 80. przekroczyła 30 tysięcy uchodźców. Różniła się jednak od powojennego pokolenia ideałami i postrzeganiem ojczyzny. Nowa emigracja zastała dobrze zorganizowane centra polskiego duszpasterstwa i dostateczną liczbę polskich kapłanów. Nie musieli ich szukać. Już w obozach przejściowych, odprawiano dla nich Msze święte i urządzano spotkania. Nowi emigranci pierwsze kroki kierowali do polskich ośrodków duszpasterskich, szukając w nich informacji, porady, pomocy, zrozumienia i poczucia przynależności. Dla tych to racji na morzach „inności” Kościół katolicki stawał się dla powojennej emigracji naturalną „kocwicą”. A tam, gdzie pojawili się polscy księża i gdzie emigranci mogli swobodnie wypiewać swe serca i po polsku świętować niedziele i uroczystości, Kościół stawał się „domem”.

Żadna polonijna impreza ani klub, ani też żadne wydarzenie kulturalne, polityczne czy sportowe nie jest w stanie gromadzić każdej niedzieli takiej ilości Polaków, jaka przybywa do licznych ośrodków polskiego duszpasterstwa na polskie Msze święte. Jest to rzesza licząca około 20 tysięcy Polaków w skali ogólnoaustralijskiej. Organizacje polonijne, kombatancki, szkoły, harcerstwo i młodzież, a także polski biznes oraz organizatorzy koncertów i wydarzeń kulturalnych szukają wsparcia właśnie przy ośrodkach duszpasterskich. Przez nie bowiem najłatwiej dotrzeć z informacją do większości czujących po polsku rodaków; prasa oraz liczne programy radiowe nie docierają tak szeroko.

Niezmiernie ważnym było Centralne Duszpasterstwo Emigracji przy Hospicjum Świętego Stanisława w Rzymie, prowadzone, kolejno, przez byłego ordynariusza Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, arcybiskupa Józefa Gawlinę, a później kardynała Władysława Rubina i arcybiskupa Szczepana Wesołego. Byli oni dla polskiej emigracji symbolem jedności z Kościołem w Ojczyźnie i jednoczyli polską diasporę na całym świecie. Rezydując w Rzymie, bez przeszkód odwiedzali polskie skupiska, bierzmowali polską młodzież, podtrzymywali na duchu ro-



for. Przemysław Stadnik (S)

daków, informowali i jednoczyli. Odwiedzali Australię regularnie, co kilka lat, docierając do najbardziej odległych polskich skupisk. Lokalni ordynariusze przyjmowali ich jako opiekunów światowej emigracji, rezydujących w Rzymie

Status kapelanów w polskim duszpasterstwie emigracyjnym w Australii ma obecnie 44 księży z ośmiu zgromadzeń zakonnych, a w Nowej Zelandii 2 księży chrystusowców. Duszpasterstwo polskie oparte jest na 23 niezależnych ośrodkach, przy których zwykle mieszkają duszpasterze, pięciu kościołach wybudowanych w Australii przez Polaków oraz na około 70 australijskich świątyniach parafialnych, w których regularnie w niedziele, święta i w niektóre dni tygodnia odprawiana jest polska liturgia.

Parafie etniczne, tak popularne w USA czy Anglii, nie znalazły miejsca w Australii. W tym wielokulturowym kraju niemal każda wielkomiejska parafia składa się z całej mozaiki różnych narodowości, języków i kultur. Niektóre parafie odnotowują ponad 40 różnych narodowości. Na przykład, na terenie Archidiecezji Melbourne, liczącej ponad milion wiernych, mieszkają przedstawiciele ponad dwustu narodowości, używających w swych domach ponad 120 języków. Naczelnym zadaniem australijskich parafii jest jednoczenie grup etnicznych i tworzenie z nich jednej parafialnej wspólnoty. Nie można tego zadania osiągnąć decyzją czy teoretycznym założeniem. Do jego realizacji potrzeba wspólnego wysiłku grup etnicznych i struktur parafialnych oraz długoletniego planowego działania. Troska o integrację emigrantów oraz o zabezpieczenie ich podstawowych potrzeb religijnych nie jest obojętna Kościołowi australijskiemu, który po nieudanych próbach forsownej asymilacji zdaje sobie dziś sprawę z tego, że duchowy proces integracyjny wymaga czasu, różnego dla różnych narodowości.

Duszpasterze emigracyjni, przyjmowani w diecezjach na statusie kapelanów, skupiają się w „zonach” lub w odpowiednikach „dekanałów specjalistycznych”. W większych diecezjach mają swojego przedstawiciela w diecezjalnej Radzie Kapłańskiej lub w Senacie Księży. Arcybiskup Melbourne już od wielu lat pełni w swej archidiecezji duchową opiekę nad emigrantami poprzez wikariusza („Episcopal Vicar for Migration”). Wikariusz przewodniczy emigracyjnej „zonie”, liczącemu w Melbourne ponad 50 etnicznych kapelanów. W tej największej w Australii diecezji, pośród miliona katolików ponad 30% stanowią emigranci pierwszego pokolenia.

Duszpasterstwo polskie, działające w ramach powyższych struktur, podlega lokalnym ordynariuszom i chętnie angażuje się w życie lokalnego Kościoła. Posiada też pełną wolność w kultywowaniu swoich polskich tradycji, języka i obyczajów. A jest to istotne, bo nie tylko język



O. Wiesław Słowik SJ
z oswojonym kakadu;
fot. ze zbiorów własnych.

i polska liturgia pozwalają nam być sobą. Wiele ważnych dla nas tradycji i obyczajów, takich jak opłatek, święcenie pokarmów, wypominki, odwiedzanie cmentarzy, Gorzkie Żale, rekolekcje wielkopostne, procesje Bożego Ciała, Rezurekcja i im podobne są Australijczykom obce. Bez nich zaś trudno Polakom pozostać sobą. Poprzez mieszane małżeństwa i szczere, szerokie przyjaźnie polski obyczaj katolicki, wiążący kulturę z wiarą, budzi zainteresowanie i coraz częściej postrzegany jest jako jedna z wielu oryginalnych cech australijskiego Kościoła. Ponad 50 polskich księży (między innymi: salwatorianów, diecezjalnych, michaelitów, paulinów i chrystusowców) pełni funkcje proboszczów lub wikarych w lokalnych parafiach australijskich. Kilku z nich to kapelani wojskowi, szpitalni lub katecheci w szkołach średnich.

W wielu kościołach parafialnych australijskich metropolii znaleźć dziś można ikonę Matki Boskiej Częstochowskiej – widomy znak polskiej obecności, polskiej liturgii w nich sprawowanej oraz polskiego wkładu w budowę i życie lokalnego Kościoła.

Na terenie Australii jest także grupa kilkunastu księży diecezjalnych i zakonnych noszących polskie nazwiska. Są to lokalne powołania, z których Polonia jest dumna. ■

Przestrzeń spotkania

Paweł Rakowski SJ



MOJE DOŚWIADCZENIE RÓŻNORODNOŚCI KOŚCIOŁA W DANII

„Jak już znajdziesz się w tej duchowej pustce, to od razu zatęsknisz za naszą tradycją, polską religijnością” – usłyszałem, kiedy miałem wyjeżdżać na moją dwuletnią magisterkę do Danii. Nigdy wcześniej nie mieszkalem za granicą. Miałem przed oczami wyrobione w Polsce opinie na temat krajów Europy Zachodniej – spustoszonych moralnie i pustych duchowo. Temu wszystkiemu towarzyszyła jeszcze świadomość, że katolicy stanowią w Danii niecały 1% ogółu mieszkańców. Do tego jeszcze język duński, który dla nas, Słowian, jest jednym z najtrudniejszych do nauczenia. Do Polski wróciłem ponad pół roku temu, a pobyt w Danii uważam za jedno z moich najważniejszych doświadczeń – zarówno jako katolika, jezuity, jak i Polaka. Dlaczego?

Kiedy byłem w Danii, nasza wspólnota zakonna w Aarhus nie była liczna. (Obecnie zresztą nie jest lepiej). Dwóch starszych jezuitów i dwóch nas, młodych zakonników. Dodatkowo pomagali nam ksiądz diecezjalny oraz kleryk z seminarium neokatechumenalnego Redemptoris Mater z Kopenhagi. Parafianie pochodzili z około 80 krajów, z czego połowa z Wietnamu. Ta wielokulturowość naszego Kościoła katolickiego w Danii zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Wiele się mówi o tym, że Kościół jest katolicki, czyli powszechny, ale dopiero w Danii mogłem tego osobiście doświadczyć. To duże bogactwo Kościoła katolickiego w tym skandynawskim kraju, ale i duże wyzwanie. Język duński stał się łącznikiem między naszymi kulturami. (Na margi-



Eucharystia stanowi centrum życia chrześcijanina. Na zdjęciu po prawej celebrowanie Mszy świętej w Aarhus; fot. Paweł Rakowski SJ



Dworzec kolejowy w Aarhus;
fot. Paweł Rakowski SJ

nesie dodam, że gdy czasem spotykam Wietnamczyków w Warszawie, to dziwię się, że mówią po polsku, a nie po duńsku). Umiejętne prowadzenie parafii przez jezuitów w ostatnich latach sprawiło, że parafianie dobrze się zintegrowali i stworzyli wyjątkową wspólnotę. Dość dużą rolę w podejmowaniu decyzji w parafii ma rada parafialna, w skład której wchodzi przedstawiciele różnych narodów. Można spokojnie powiedzieć, że parafianie czują odpowiedzialność za swoją wspólnotę, angażują się w przygotowanie świąt, dekorację kościoła, organizację festynów i są obecni przy różnych innych wydarzeniach. Na Eucharystii często przypominał mi się fragment z Listu do Kolosan: „Nie ma już Greka, ani Żyda, obrzezania, ani nieobrzezania, barbarzyńcy, Scyty, niewolnika, wolnego, ale wszystkim we wszystkich jest Chrystus” (Kol 3, 11). Tylko Chrystus mógł nas zjednoczyć – byliśmy przecież tak różni, a jednak razem. Wspólnotowy charakter parafii podkreślał jeszcze jeden element – ułożenie krzesel w elipsę i umiejscowienie ołtarza w jednym, a ambony w jej drugim ognisku. Chrystus dosłownie „stawał pośrodku” nas (Łk 24, 36), a my gromadziliśmy się wokół Niego, widząc też siebie nawzajem. Wydaje mi się, że największą siłą wspólnoty parafialnej w Aarhus jest właśnie jej różnorodność w jedności z Chrystusem.

Pluralizm parafii katolickiej w stolicy wschodniej Jutlandii ma ogromny wpływ na nasze działanie na zewnątrz. Jak już wspominałem, katolicy stanowią niecały 1% mieszkańców Danii. Z tego też powodu wyraźnie tam odczuwałem misyjny charakter naszego Kościoła. Rzeczą naturalną była współpraca i ekumeniczne kontakty z ewange-

lickim Kościołem Ludowym – narodowym Kościołem Danii. Dużo gestów pojednania już się dokonało, ale przed nami jeszcze wiele pracy, by siebie nawzajem poznać i zrozumieć. Ponadto Kościół katolicki utrzymuje żywy kontakt i współpracę z Kościołem greckokatolickim i chaldejskim – obu tym Kościołom użyczamy pomieszczeń parafialnych i wspólnie dzielimy los mniejszości wyznaniowych. Kolejnym wyzwaniem jest zlaicyzowane społeczeństwo, niemalże postchrześcijańskie. Paradoksalnie brak wiary w Danii przybliżyła do siebie wszystkie Kościoły i wspólnoty kościelne, gdyż one wszystkie zmagają się z obojętnością religijną. Nie można nie wspomnieć o muzułmanach mieszkających w Aarhus, którzy stanowią zauważalną społeczność miasta. Przy tak dużych kontaktach z tak różnymi wspólnotami trzeba było wypracować swego rodzaju platformy czy może przestrzenie, gdzie można nawiązać kontakt z tymi wszystkimi ludźmi. Może się to wydawać mało istotne, ale obserwując życie parafii w Aarhus, wydaje mi się, że jest kluczowe w zrozumieniu oryginalności tej wspólnoty. Myślę o czterech takich platformach: szkoła, pomoc uchodźcom, galeria sztuki oraz sklep z dewocjonaliami i katolickimi książkami.

Tuż obok parafii prowadzona jest szkoła katolicka. Uczęszczają do niej nie tylko dzieci z katolickich rodzin, ale również protestanci i muzułmanie. Szkoła ta jest świetnym miejscem na integrację dzieci różnych wyznań. Przede wszystkim jest to miejsce, gdzie nie-katolicy mogą poznać katolików. Spotkałem kilku dorosłych nie-katolików, którzy bardzo pozytywnie wypowiadali się o tej szkole, a którzy teraz są naszymi „ambasadorami” w tych miejscach, do których nie możemy dotrzeć i w których, z naturalnych przyczyn, nas nie ma. Budujemy przez to wzajemne zaufanie.



Ponadto mamy z tej szkoły sporo katechetów, którzy pomagają w parafii w katechezie dzieci przygotowujących się do Pierwszej Komunii Świętej oraz bierzmowania.

Jesuit Refugee Service (JRS), czyli pomoc uchodźcom ma miejsce w naszej parafii już od dłuższego czasu. Zajmuje się nią Marie-Jehanne, Francuzka, która od wielu lat mieszka w Danii. Nie jest to rozbudowane centrum pomocy uchodźcom – nie ma takiej potrzeby, gdyż sama Dania ma dość dobrze rozwinięte tego typu instytucje, ale jest to miejsce, gdzie uchodźcy, szczególnie z biednych krajów, mogą przyjść się wygadać, uzyskać poradę w załatwianiu dokumentów lub innych spraw. Osoba Marie-Jehanne łączy jeszcze jedną platformę, mianowicie Galleri ved Kirken, czyli Galerię przy Kościele, za którą jest odpowiedzialna. Największa sala parafialna oraz główny korytarz do niej przylegający zostały przystosowane do prezentowania obrazów i innych dzieł sztuki. W regularnych odstępach czasu przygotowywane są nowe wystawy i wernisaże. Galeria jest na stałe wpisana na listę tego typu miejsc w ministerstwie kultury – dzięki temu pojawiają się w wydawanych przez samorząd biuletynach promujących miasto. Miejsce to przyciąga artystów, jak i wszystkich zainteresowanych sztuką. Jest to dość neutralny grunt, na którym można spotkać ludzi wierzących i niewierzących, chrześcijan i ludzi innych wyznań religijnych.

Bardzo ważną platformą spotkania z ludźmi jest Katolsk Infobutik, czyli sklepik katolicki, który jest jednocześnie punktem informacyjnym o naszym Kościele. Ważne są sprzedawane tam książki i dewocjo-

Znaczna część Danii położona jest na półwyspie Jutlandzkim. Reszta kraju znajduje się na 443 wyspach, z czego tylko 76 jest zaludnionych;
fot. Paweł Rakowski SJ





fot. Paweł Rakowski SJ

nalnia, bo jest to jedyny tego typu sklep w Danii, ale ważniejsza wydaje mi się funkcja informacyjna tego miejsca. W sklepie znajdują się dwa stoliczki, przy którym można napić się herbaty i zjeść jakieś ciastko, ale przede wszystkim można porozmawiać z personelem, czyli katolikami. Byłem pod wrażeniem panującej tam atmosfery. Mieliliśmy stałych klientów, ale również wielu ludzi przychodziło z ciekawości, pytali nas kim jesteśmy, zadawali pytania o naszą wiarę. Pamiętam wiele ważnych rozmów, podczas których razem z protestantami odkrywaliśmy Kościół katolicki. Często pierwszy kontakt z Kościołem katolickim dla późniejszych konwertytów rozpoczynał się właśnie tam. Nic więc dziwnego, że regularne spotkania dla osób chcących wejść do wspólnoty Kościoła katolickiego mają miejsce właśnie w Infobutiku, już po zamknięciu sklepu. Wiążę z tym miejscem szczególne wspomnienia i doświadczenia, bo właśnie tam zacząłem coraz płynniej mówić po duńsku i właśnie tam nawiązałem kontakt z wieloma nie-katolikami.

Do wspomnianych platform spotkań mógłbym jeszcze dodać nasze międzynarodowe duszpasterstwo akademickie – Mount Tabor, czyli Górę Tabor. Poza modlitwami w każdy wtorek byliśmy w stałym kontakcie z młodymi protestantami. Zapraszaliśmy siebie nawzajem nie tylko na modlitwy, ale i wspólne wypadki na miasto, spotkania urodzinowe, a także różnego rodzaju imprezy. Wszystkie nieformalne spotkania przybliżyły nas do tego, aby później bez lęku rozmawiać o trudnych tematach związanych z podziałem chrześcijan. Wiele z tych rozmów pamiętam do dziś i stały się one jedną z motywacji, by dobrze przestudiować teologię w Warszawie.

Pamiętam, jak przy którejś wizycie w Polsce ktoś mnie zapytał, czy nawróciłem jakiegoś Duńczyka. Byłem zdziwiony tym pytaniem i przyznam, że uśmiechnąłem się pod nosem. Jednak zacząłem dłużej o tym myśleć. W encyklice Jana Pawła II „Redemptoris missio” znalazłem: „Wiara umacnia się, gdy jest przekazywana!” Słowa te bardzo dobrze oddają to, czego doświadczyłem w Danii. Nie można głosić Chrystusa bez zadania sobie samemu pytania: „Kim jest Chrystus?”. Kościół, który angażuje się w misję na zewnątrz, musi dobrze przemyśleć siebie samego i wgłębić się w tajemnicę wiary, bo inaczej albo będzie głosił inne wartości niż te, które zawarte są w Ewangelii, albo przez słabe fundamenty straci swą tożsamość. Dziś terenem misyjnym jest najbliższa ulica, najbliższy dom i najbliższe skrzyżowanie. Nie dojdzie do spotkania, jeśli nie stworzymy do tego odpowiednich warunków. Jest to mozolna praca, która na pierwszy rzut oka wydaje się nie przynosi wielkich owoców. Herbatka w sklepiku, impreza urodzinowa u koleżanki z Kościoła protestanckiego, lekcja w szkole czy rozmowa przy jakimś obrazie na wernisażu – wydają się śmieszne i niepoważne. Jednak te niepozorne, zwyczajne gesty, rozmowy i spotkania przybliżyły nas do siebie z dnia na dzień. I tak od rozmowy o rzeczach banalnych dochodziliśmy często do rozmów o sprawach istotnych.

Czy tęsknisz za Polską? – co jakiś czas musiałem odpowiadać na to pytanie stawiane przez rodzinę i znajomych. Gdybym pojechał do Danii za pracą, na studia albo przeprowadził się tam z rodziną z innego powodu, to pewnie bym co jakiś czas tęsknił mocniej za naszą Ojczyzną. Przez to, że pojechałem tam jako jezuita, mieszkałem w naszym jezuickim domu i do tego byłem w Kościele katolickim, mogłem powiedzieć, że czułem się jak u siebie. Paradoksalnie, będąc na granicy Kościoła katolickiego, czułem się jakbym był w jego sercu. W Danii spotkałem żywy Kościół, który modli się tak jak Kościół w Polsce, który jest Kościołem otwartym, szukającym przestrzeni do spotkania innych chrześcijan, niewierzących czy wyznawców innych religii; próbującym pogodzić pluralizm z jednością i indywidualizm ze wspólnotą. Po dwóch latach i język duński stał się mniej straszny. Wróciłem do Polski z nowym bagażem doświadczeń. Tak, tu też czuję, jakbym był w sercu Kościoła – w końcu to ten sam Kościół, bez względu na to, czy będzie się znajdował w Polsce, Danii, RPA, Brazylii, Indiach czy jakimkolwiek innym, egzotycznym dla mnie miejscu. ■

the **PREACHER**

w roku Piotra Skargi
internetowy
komiks o słynnym
kaznodziei
tylko na DEON.pl



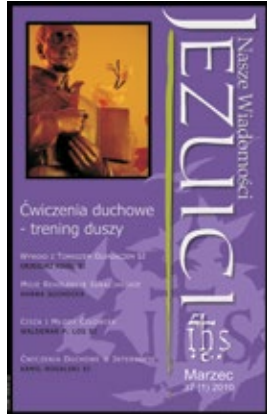
CRACOVIA



DEON.PL

Świat i Kościół z lepszej strony

Wywiady Społeczność Aktualności
Dyskusje facebook e-rekolekcje
Internet Kościół Świat Modlitwa Gospodarka
Fotografie Nauka Watykan twitter Wydarzenia
Polska Katecheza Muzyka
YouTube Biblia
Opinie Ona i On Dziecko Zdrowie
Kuchnia Rozrywka Duchowość Wychowanie Książki Film
Modlitwa w drodze Psychologia Podróże Rodzina



dowód/pokwitowanie dla odbiorcy
nr rachunku odbiorcy:

61 1240 2294 1111 0000 3708
8947

odbiorca:

Towarzystwo Jezusowe
Prowincja Polski Południowej
Mały Rynek 6, 31-041 Kraków

kwota:

zleceniodawca:

tytułem:

Jezuciki Nasze Wiadomości

dowód/pokwitowanie dla odbiorcy

Nazwa odbiorcy / odcinek dla banku / odbiorcy

TOWARZYSTWO JEZUSOWE, PROWINCJA POLSKI POŁUDNIOWEJ

Nazwa odbiorcy cd.

MAŁY RYNEK 6, 31-041 KRAKÓW

L.k. Nr rachunku odbiorcy:

61 1240 2294 1111 0000 3708 8947

Waluta:

W P P L N

Kwota

Nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)

Nazwa zleceniodawcy

Nazwa zleceniodawcy cd.

Tytułem:

JEZUCICI NASZE WIADOMOŚCI

Tytułem cd:

Wpłata gotówkowa

Oplata:

Oplata:

Od redakcji

NASZE WIADOMOŚĆ

JEZUICI

To już 41. numer naszego czasopisma. Jak zwykle prosimy Was, Drodzy Czytelnicy, abyście przekazywali i udostępniali je swoim krewnym i znajomym. Jeżeli chcielibyście, aby *Jezuici - Nasze Wiadomości* docierało bezpośrednio do Waszych przyjaciół i znajomych, prosimy o przesłanie do redakcji odpowiednich adresów. Nasze pismo jest rozsyłane nieodpłatnie.

Jednocześnie bardzo Wam dziękujemy za wsparcie modlitewne, a także i materialne. Jezuici w Polsce prowadzą parafie z ich dziełami charytatywnymi, domy rekolekcyjne, zaangażowani są w edukację i formację ludzi, którzy chcą być *ludźmi dla innych*, wspomagają duszpastersko polskich emigrantów oraz organizują pomoc dla misjonarzy w Afryce, Ameryce Południowej i Azji. Dzieła te utrzymywane są dzięki otwartości i wsparciu naszych Przyjaciół i Dobroczynców. Również kształcenie młodych jezuitów nie byłoby możliwe bez tej życzliwości i pomocy z zewnątrz. Zapraszamy również Was do włączenia się w te dzieła, niosące tak wiele dobra innym. Możecie to uczynić, wspierając finansowo nasze wysiłki. Zachęcamy do skorzystania z niniejszego formularza. Istnieje również możliwość przeznaczenia datków na cel konkretnego dzieła prowadzonego przez jezuitów w Polsce – wystarczy w rubryce *tytułem* dopisać jego nazwę lub skorzystać z numeru konta, podanego przy artykule na temat odpowiedniego dzieła.

Jesteśmy wdzięczni za wszelkie ofiary i zapewniamy o naszej pamięci modlitewnej.



Opiekun Kręgu
Przyjaciół Jezuitów
Bartłomiej Przepeluk SJ
30- 961 Kraków 1
skr. pocztowa 128
fazasi@gmail.com



Summary

The year 2012 is exceptional because of the fact that it commemorates both the centenary of the death and the 10th anniversary of John Beyzym's beatification. This edition of JNW is not only intended to honour Fr. Beyzym as a great missionary, but also to show the current Jesuit involvement into missions. The missionary activity began at the same moment that the Society of Jesus was founded and has always been a significant part of Jesuit works. This missionary work was never limited to helping the poor. Apart from the fight against the injustice in the world, the Jesuit order struggles for the liberty of religious belief and protects the human right to have one's own identity. This publication focuses mainly on young Jesuits' works during their time of formation. Their stories are a recording of personal reflections of an European experiencing: the extreme poverty in Africa on a mission in Sudan, work in a school in Chile, social apostolate in Taiwan, help for the Jesuit Refugee Service in Malta and the fight against the crisis of faith in Europe. There is also a story about Polish chaplaincy in Australia. After reading the articles, it becomes clearly visible that a desire to become a missionary was a foundation of many religious vocations. What is more and what brings satisfaction is that the Jesuits are a source of inspiration for many young people who want to dedicate their time and talents for those who are in need, by becoming volunteers.

Codziennie rozważanie Słowa Bożego...



...w twoim odtwarzaczu MP3

www.modlitwawdrodze.pl